PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * NIEDZIELA — CENA 50 GR. — 22 LISTOPADA 1936 R. * NUMER 47 (164)

KOMENTARZE

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w dawnych „przedwojennych" szkołach uczono lepiej niż dziś. Znam ludzi, którzy po kilkudziesięciu latach potrafią jeszcze, o każdej porze dnia i nocy, wyliczyć bez zająknienia nazwy wszystkich wysp Archipelagu Malajskiego lub wszystkich szczytów, na których leży wieczny śnieg. Czynią to tak naturalnie, jakby chodziło np. o kolejność przystanków tramwajowych od placu Zbawiciela do ogrodu Saskiego. Niemniej jednak taki mechaniczny sposób nauczania miał tę złą stronę, że kto się raz zaciął na jednej wyspie, to dalej... ani rusz. A cóż dopiero musiało się dziać w umysłach niezliczonej rzeszy starszych panów, którzy mieli niegdyś w szkole tak „dobre początki" — gdy po wojnie europejskiej okazało się nagle, że wszystkie podręczniki geografii trzeba po prostu wyrzucić na śmietnik. Archipelag Małajski, szczyty niebosiężne i wszystkie rzeki wraz z dopływami zaczęły im wirować przed oczyma. W tych warunkach nietrudno było o gaffę.

Dziś, wnuczek p. Lloyd George'a nie umieściłby z pewnością Górnego Śląska na... Kaukazie, jak to uczynił, według znanej opowieści, jego znakomity dziadek w oratorskim zapale. Młodsze pokolenie polityków nie ma już, oczywiście, tak poważnych trudności z geografią.

Toteż, gdy minister Beck wyjeżdżał na zaproszenie rządu angielskiego nad Tamizę — w całej Europie słychać było szelest przewracanych kartek atlasów i zbiorowy szept zgodnego chóru „klasy": — „Polska, kraj o 33 milionach ludności, położony pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim... Gdańsk, Gdynia..." — Dobrze — orzekli „profesorowie" w kilkunastu językach — a teraz zamknąć podręczniki i atlasy, wyjąć zeszyty i pióra. Klasówka na temat: realizm polityczny a kluczowe położenie geograficzne Polski.

Oto temat niewątpliwie aktualny w przededniu rokowań o nowe „Locarno" i najważniejszy wynik podróży ministra Becka do Londynu.

*

Podróże są, oczywiście, najlepszym sposobem nauczenia się geografii. Francuzi spodziewają się znacznego napływu turystów na wystawę międzynarodową, która odbędzie się w Paryżu w roku przyszłym. Pewien rozgłos nadało ostatnio tej imprezie ustąpienie vice-komisarza wystawy p. François-Latour, zwolnionego przez rząd ze swego stanowiska za podpisanie znanego manifestu w sprawie Karola Maurrasa. Nie pomogło wyjaśnienie p. Latour, iż bynajmniej nie jest monarchistą, a protestował tylko wraz z innymi przeciwko uwięzieniu „księcia francuskiej prozy" i jednego z najznakomitszych pisarzów współczesnej Francji. Po zwolnieniu p. François-Latour podał się do dymisji vice-prezes rady wystawy, również radny Paryża, płk. des Isnards.

Trzecia głośna dymisja — to ustąpienie, na wyraźne życzenie premiera Bluma, jednego z dyrektorów subwencjonowanej agencji Havasa p. Guimier. Rzecz, jak wiadomo, polegała na tym, że p. Guimier jest równocześnie dyrektorem dziennika *Le Journal*, niezbyt przyjaźnie usposobionego dla rządu frontu ludowego. Sprawa znalazła odbicie w dość ostrej deklaracji syndykatu prasy paryskiej, który opinii premiera nie podzielił wcale. W komentarzach dzienników nawiązywano do czasów Karola X przypominając, że bezwzględność wobec prasy, która przyprawiła monarchę o utratę tronu, może również zaszkodzić szefowi rządu republikańskiego. Słowem — czystka w dziale propagandy, co wskazuje, iż rząd przywiązuje dużą wagę do jednolitości politycznej podwładnych mu organów.

Nie wszystkie jednak manifestacje tej jednolitości są rządowi na rękę, czego dowodem mogą być kłopoty, jakie miał w senacie minister marynarki. Poszło o to, że dygnitarzy państwowych, wizytujących arsenały wojenne, robotnicy powitali wzniesionymi pięściami i śpiewem „Międzynarodówki", sądząc zapewne, że melodia ta mile będzie wpadać do uszu członków rządu frontu ludowego. Senat jednak odniósł się niezbyt życzliwie do tych manifestacyj wokalnych i udzielił rządowi „nagany" wyrażając nadzieję, że więcej to się nie powtórzy, co przyrzekł solennie minister marynarki. Minister obrony narodowej p. Daladier oświadczył również parokrotnie, iż wojsko winno trzymać się zdala od polityki: wobec tego zmuszony jest zlikwidować jaczejki, które arganizuje w armii stronnictwo komunistyczne, wchodzące w skład większości rządowej.

*

Jak kończy się przyjaźń z komunistami — dowodzi przykład Hiszpanii, gdzie swych niedawnych przyjaciół ogłosili komuniści „zdrajcami ludu" zapowiadając, że nie mają po co wracać, nawet w razie zwycięstwa. Jakkolwiek zwycięstwo to jest dość problematyczne — to wydaje się niewątpliwem, że, opuszczając Madryt, rząd z prezydentem Azaną na czele utracił resztki swej i tak szczupłej władzy i musi słuchać rozkazów dyplomatów i generałów sowieckich.

Czytałem niedawno—pisał ostatnio Guermantes — książkę p. t. *Wojna cywilna w Hiszpanii w 1836 r.* W tej książce było zdanie następujące: „Trzeba, aby Hiszpania odniosła jakąś korzyść z okrutnych doświadczeń tej wojny, aby wyciągnęła z niej naukę i aby dzieci nasze nie spotkały nigdy takie nieszczęścia..." To zdanie ma dziś po stu latach posmak ironii. Jeśli człowiek korzysta czasem z doświadczenia — pisze publicysta francuski — to narody nie są do tego zdolne. Doświadczenia z r. 1836 nie posłużyły na nic; dzisiejsze też będą z pewnością zapomniane; „a jeśli znajdzie się jakiś Goya, który wymaluje okrucieństwa z r. 1936, pojutrzejsi Hiszpanie o nich zapomną, tak jak dzisiejsi, i będą znów gotowi pokłócić się na nowo".

*

Tym większej wyrazistości nabiera „rozszerzenie" frontu antykomunistycznego na wiedeńskiej konferencji sygnatariuszów paktu rzymskiego. Uroczyste ogłoszenie równouprawnienia Austrii i Węgier w dziedzinie zbrojeń było z pewnością pożądane na obu krańcach linii Berlin — Rzym. Natomiast ewentualna restauracja Habsburgów na tronie austriackim nie byłaby zbyt mile widziana w Berlinie, nie mówiąc już o Jugosławii, dla której znalazło się parę ciepłych słów w mediolańskiej mowie Mussoliniego. Dlatego też oświadczenie, jakie złożył il Duce przywódcy austriackich legitymistów dr. Wiesnerowi, było warunkowe i pełne zastrzeżeń.

W cieniu pozostała również sprawa rewizjonizmu węgierskiego, której wysunięcie nie poszłoby w smak Londynowi. To zaś mogłoby być mocno niewygodne w chwili, gdy zbliżenie pomiędzy Włochami i Anglią jest na najlepszej drodze. Mimo bowiem pewnych różnic, jakie mogliśmy stwierdzić w mediolańskiej mowie dyktatora Włoch i przemówieniu p. Edena w parlamencie, w zbliżeniu tym widać stałe postępy, czego dowodzą następujące fakty: „urlop" posła W. Brytanii w Addis Abebie, odwołanie oddziału wojsk indyjskich przeznaczonego do ochrony poselstwa, wreszcie zawarcie angielsko - włoskiego układu handlowego, który likwiduje znaczną część pozostałości z okresu sankcyj gospodarczych. Sprawę więc poparcia „wielkiej kaleki", jak nazwał Węgry Mussolini, na razie odroczono. Będzie ona jednak wkrótce tematem obszernych komentarzy — o ile nie rozmów zupełnie konkretnych — z okazji bliskiego wyjazdu regenta Horthyego do Rzymu.

*

Rząd niemiecki wypowiedział klauzulę traktatu wersalskiego o umiędzynarodowieniu rzek. Żegluga na Renie, Elbie, kanale Wilhelma pozostanie otwarta dla wszystkich, ale Niemcy przywracają pełną swą suwerenność na tych drogach wodnych. Międzynarodowe komisje odesłane będą z kwitkiem. Jak zwykle, odbędą się w tej sprawie narady i nastąpi szereg démarches, jakaś komisja poweźmie jednomyślną uchwałę. do której Rzesza się, rzecz jasna, nie zastosuje, i na tym się skończy cała historia. Cóż pozostaje z ograniczeń, narzuconych Niemcom w Wersalu? Fikcja, której dalsze utrzymywanie niewiadomo komu może przynieść korzyść. Prawo, do którego wykonania nie można zmusić, prawo, z którego się kpi, papierowy gałganek (Bismarck dixit), jest stokroć gorsze niż jego brak.

JUNIUS

SEN NOCY LISTOPADOWEJ

Nad Łazienkami słońce świeci coraz bledsze,
seledynem się zachód po niebie rozlewa,
jesień oddechem chłodnym wieje przez powietrze,
wygasłą nutą ptaka opadłego z drzewa;
wody w stawach jak bielma ócz mętnieją co dzień,
patrzą w szklaną, chmurami wypełnioną ciszę,
milczenie gra palcami na strunach ogrodzeń
i ostatnimi liśćmi na drzewach kołysze.

Wiatr dał znak, echo w dali powtórzyło hasło,
księżyc wszedł, osowiałe zbudziły się wrony,
mgła zgęstniała nad stawem, światło w głębi zgasło,
i opadły z drzew krople jak muzyczne tony.
Coraz rzadsze na wodzie księżycowe błyski,
mgła owija w milczenie park śmiertelnie pusty,
ustały bić fontanny, scichły wodotryski
i stoją oniemiałe z otwartymi usty.

Oto grają na scenie pustego ogrodu
pałace dwa jak harfy pozbawione dłoni.
Skacze w tańcu rubasznym faun z zieloną brodą,
nimfa z gestem tragicznym drze włosy na skroni.
Rozsypują się dzieje jak teatr na wyspie,
po alejach rozwłóczą je wiatrów przeciągi,
wyłamują z pałaców drzwi i okna wszystkie
i żywych ludzi nagle zmieniają w posągi.

Cóż jest — zwiędły liść bluszczu albo winogradu,
których czar rumowiska w nieśmiertelność zmienia?
Cóż jest — ludzka zbiorowość, z której ani śladu,
prócz tych kilku posągów z gipsu i kamienia?
Patrz! ten z mieczem na koniu, ów siedzi przy lutni,
co rok jesień im laurem obsypuje głowy —
a wkoło nimfy nagie, satyrowie chutni
wiodą tan dionizyjski — szał karnawałowy!

O lutnisto, bij w struny — palce muzykalne
niech uderzają w bluszcze, słupy i kolumny,
niech płyną w tonach górnych wiatry tryumfalne
na cześć tych, co umarli, nie schodząc do trumny...
O lutnisto, bij w struny — wiatry górnych tonów
podłóż pod serca nasze, rozprowadź w strumienie,
niech wypełni nam płuca oddech Pigmalionów,
który słabych uśmierca, lecz wskrzesza — kamienie!

— — — — — — — — — — — —

Milczy ogród okryty gwiaździstym sztandarem,
w powietrzu metalicznym mży coraz srebrzyściej.
Kroki nocnego stróża są tutaj zegarem,
historia czas odmierza opadaniem liści.
Przelicza je na palcach świt blado-różany
i układa we wzory. Kogut, dnia odźwierca,
zaskrzypiał z dalekości. I wiatr niespodziany
drzewom w parku ostatnie poutrącał serca.

MARIAN PIECHAL

KAROL KRZEWSKI:

SPÓR O WALKĘ „MŁODYCH“ ZE „STARYMI“

CZYLI

MAŁY PRZEWODNIK PO POZYTYWIZMIE WARSZAWSKIM*

4. ORZESZKOWA — „PIERWSZĄ LEPSZĄ MIERNOTĄ“

A pani Orzeszkowa zerwała z *Kurierem Warszawskim*. Goraj w *Tendencyjności i krytyce* gorąco bronił Sienkiewicza przed Chmielowskim i zupełnie niepotrzebnie, bo to nie Sienkiewicza lecz Prusa skrzywdził swoim sądem autor *Zarysu*, który w jego części drugiej *(Osoby i dzieła)* zbyt ostro potraktował niektórych pisarzy. Podług Goraja, który do wszystkiego swoje trzy grosze wtrącał a Chmielowskiego się czepiał jak pijany płotu, ten ci nieszczęsny krytyk osiągnął „potworne rezultaty“ swoją krytyką Sienkiewicza. Sądzić bowiem jak Chmielowski, że „najwyżej wzniósł się dotychczas talent Sienkiewicza i doszedł prawdziwego niemal mistrzostwa w malowaniu uczuć miękkich, tkliwych i rzewnych“, znaczy to odmawiać talentowi autora *Janka muzykanta* cechy „męskości i siły“.

Ale dlaczego sobie Chmielowski tak brzydko postąpił?

„Raz dlatego — wiedział o tym Goraj — aby zadowolnić dumę pierwszej lepszej miernoty, zazdrosnej o prawdziwy talent a należącej do koła sympatycznych; po wtóre aby stworzyć znowu arcydzieło ciasnoty pojęć, wyobraźni i myśli“. Kończył ten Goraj w *Kurierze Warszawskim* Chmielowskiego z kretesem (i to bez księdza!), ale cóż? Podówczas Warszawa pamiętała lepiej niż my złotą myśl Żółkiewskiego (z *Momusa*): „Łatwiej dociec, kto jest większy mędrzec, niż kto jest większy głupiec, co nas mocno cieszyć powinno“.

Tą „pierwszą lepszą miernotą“ była Orzeszkowa, którą Chmielowski umieścił w *Zarysie* na czele powieściopisarzy. Orzeszkowa na długo przed drukiem rozważań Gorajowych nadesłała *Kurierowi Warszawskiemu* swoją *Złotą nitkę*. Teraz — zażądała zwrotu rękopisu. *Kurier* zaś *Warszawski* oczywiście wydrukował rzecz Orzeszkowej, bo Goraj — Gorajem, a pani Orzeszkowa — Orzeszkową, która była (w r. 1881) pisarką głośniejszą od Sienkiewicza, bo już znaną w Niemczech i w Rosji. Oburzona Orzeszkowa skreśliła „małą polemikę“ w formie przydługiego (jakżeby inaczej?) *Listu otwartego* do W. Przyborowskiego, redaktora *Kuriera Codziennego*. List ten niektóre pisma przedrukowały (przede wszystkim *Nowiny)*, a Świętochowski pochwalił autorkę *Złotej nitki* za zerwanie z *Kurierem Warszawskim*, o którym chyba Poseł Prawdy ani jednego życzliwego słowa w życiu nie skreślił. List Orzeszkowej nie był różdżką oliwną, owszem dolewał oliwy do ognistego sporu, a ogółowi literackiemu i z literaturą związanemu (t. zw. miłośnicy literatury!) tylko w to graj.

5. ODPAROWANIE „NIESZLACHETNEJ BRONI“. STARZY Z MŁODYMI

Poniósł Goraja, jak już wspomniałem, A. Brzoza w *Nowinach*, umieszczając tam w paru kolejnych numerach gorąco napisaną replikę *(Nieszlachetna broń)*, z której wyłuskam to tylko, co dziś posiadać może wartość potrzebnego nam świadectwa, gdyż mniejsza o polemikę z Gorajem. Zaczął Brzoza tak:

„Gdy przed kilkunastu laty grono pisarzy, wśród apatii i martwoty stosunków literackich, zaczęło nawoływać do życia, do wyjścia z błędnego koła wzajemnej chwalby, do porzucenia fantastycznych mrzonek politykomanii, do rozpoczęcia pracy odrodzenia, wszczął się wielki rozruch na ówczesnym parnasie literackim“.

Rzecz do sprawdzenia w materiałach zgromadzonych przez K. Wóycickiego w *Walce na Parnasie i o Parnas*, gdy o ten „rozruch“ chodzi. O walce z politykomanią po roku 64 ciągle i słyszę i czytam po dzień dzisiejszy, ale nikt nam nic konkretnego o niej dotąd, gdy o pozytywistów warszawskich chodzi, nie powiedział. Natomiast zdołano nam już wiele powiedzieć, jak „stańczycy“ krakowscy (też *młodzi*!) zwalczali „politykomanię“.

„Dziś wiele haseł — pisze Brzoza — oplwanych tak niesłusznie nabrało prawa powszechnego obiegu w prasie i opinii naszej, ale zawsze zostanie to faktem niezbitym, że broń potwarzy była pierwszym orężem niektórych przeciwników naszego ruchu, pragnących tym szlachetnym manewrem podeprzeć własną bezsilność. Najlichsze, najnędzniejsze pobudki przypisywano ludziom, którzy rwali się do literatury, popychani siłą przekonań, nie szukając w niej sławy ani korzyści, którzy, nie licząc się z okolicznościami, szli na przebój, nie uważając literatury za „dojną krowę“, nie wieszając się klamek pańskich, ani wycierając przedpokojów bankierskich“.

To rwanie się do literatury należy rozumieć jako „rwanie się“ do współpracy w tworzącej się *młodej* prasie i w ogóle w prasie. Wyrażający się oględnie i mniej jaskrawo Chmielowski tego samego był zdania co i Brzoza. W zgodzie z nim jest i Świętochowski. Charakterystyka szczegółowa walki z *młodymi* wykaże, że do „broni potwarzy“ należały: racjonalizm, pozytywizm, ateizm, materializm, darwinizm, nieszanowanie powag, kosmopolityzm, zerwanie z tradycją, brak szacunku dla przeszłości, wyrażanie poglądów, na które zezwala cenzura rosyjska, i podobne „zbrodnie“. Brzoza opowiedział nam też, dlaczego w *Przeglądzie Tygodniowym* współpracował Bartoszewicz.

„Bartoszewicz, pomimo swego religijnego stanowiska, był człowiekiem nauki gruntownej, niepodległym, oschłym często krytykiem, niecierpiał małostek naszego literackiego świata i drwił ze wszystkich koteryjnych wielkości. Gdy ukazała się *Historia Literatury Polskiej*, warszawski światek piśmienniczy zagotował się cały od gniewu, zasyczał głosem podrażnionych ambicyj. Bartoszewicz nietylko pisywał do *Przeglądu Tygodniowego* w pierwszych latach jego istnienia, ale ofiarował się sam w razie potrzeby z bezinteresownym współpracownictwem. Piszący te słowa, uczeń szanownego historyka, pamięta dobrze, gdy po pierwszych literackich próbach umieszczonych w *Przeglądzie*, zachęcał go do dalszej pracy i do współpracownictwa w tym piśmie, które podług Bartoszewicza chociaż „trąciło nowinkami“, jednakże budziło ruch i życie wśród martwoty koteryjnej, wśród gminności i ospalstwa wielu ludzi, którzy wedle słów jego dosadnych z „literatury robili sobie dojną krowę, bawili się w rysowanie chałupek i pisali o stołowych nogach ćwiczenia funta kłaków nie warte“. Taką opinię miał o współczesnym literackim świecie jeden z najbardziej prawowiernych konserwatystów, zachęcając młodzież do pracy na nowych torach“.

Bardzo to ciekawe! Bardzo! A bo też dzieje pozytywizmu polskiego tak związane z walką *młodej* prasy ze *starą* będą musiały uwzględnić udział starych (wiekiem) śród *młodych* jak i młodych (latami) wśród *starych*. A rola „starych“ nie ograniczała się wyłącznie do ich nazwisk, a raczej do splendoru ich nazwisk w *młodej* prasie.

Z nazwiskami „starych“ związane są w *młodej* prasie rzeczy byle jakie, ale i też nie byle jakie.

„Pracę organiczną“, uchodzącą (wraz z „pracą u podstaw“) za kamień węgielny ideologii pozytywistów warszawskich, ugruntował w Warszawie jako termin Jeż-Miłkowski, który ujawnił w tym pięknie pozytywną metodę myślenia (tak, tak...!). A „stary“ Kraszewski pisał *młodym* w roku 1874:

„...myśl pocieszająca, że jest jakiś węzeł, co przeszłość z przyszłością łączy. Ja już więcej do pierwszej, Wy do drugiej należycie. Zachowałem tylko w sercu wiarę w postęp, uczucia jego obowiązku, miło´ć nauk i pracy, i to mnie do Was zbliża. Wszystko w świecie ma swój czas i miejsce i przejść musi i być nawozem dla przyszłości. Czuję i ja, że mi sił nie starczy zdążyć za zastępem Waszym, ale duchem nie zestarzałem jeszcze i pociechą dla mnie Wasze uznanie, bo nim się czuję jeszcze żywy“.

Pamiętajmy, że to „stary“ Kraszewski jest przecież autorem *Robót i Prac!* Podziw jednak wzbudza przede wszystkim Józef Supiński, bo on, urodzony w r. 1804, wieloma poglądami przemówił do tych, którzy po powstaniu styczniowym ruszyli solidarnie, by zdobyć opinię społeczną. Stało się to dlatego, że Supiński nie tylko był człowiekiem gruntownie wykształconym, o umyśle filozoficznym, zdradzającym wyraźną postawę pozytywistyczną (Comte'a nazwał „głębokim“, a pisma jego poznał w Paryżu), ale miał umysł zdolny do stałego rozwoju i zawsze żywy, nie zamrożony (niczym jakiś kredyt podczas kryzysu) w dorobku tylko jednego pokolenia, skłonny do współpracy z pokoleniami następnymi, do wskazywania im nawet idej kierunkowych. Świętochowski pierwszy nazwał go „pierwszym polskim socjologiem“, a powtórzył to za nim Ludwik Gumplowicz. *Przegląd Tygodniowy* w r. 1871 przeznaczył 100 rubli „na pomoc“ wydawnictwu dzieł Supińskiego, ale ta pomoc okazała się zbyteczną, bo to *młodzi* „odkryli“ Supińskiego, którego pisma dzięki temu poczęły, używając terminu księgarskiego, „iść“.

W Bibliotece Krasińskich są listy (trzy tylko, jeśli mnie pamięć nie zawodzi) Supińskiego do *młodych*, bo skierowane do redakcji *Niwy*. W r. 1872 skarży się Supiński na ślepotę, chorowitość i wiek, który mu ciąży. Zaledwie godzinę dziennie spędzał na słuchaniu lektora. Uznanie *młodych*, uznanie „jego szczerych chęci i nieodstraszonej pracy ze strony ludzi godnych szacunku“, było mu „najwyższą nadgrodą“ usiłowań i „jedyną uciechą przy schyłku życia pełnego przygód, cierpień i niepowodzeń...“ I pisze tak do redaktora *Niwy:*

„Słucham jej (*Niwy*) czytania codziennie, a godzina spędzona na jej słuchaniu staje mi się pokarmem duchowym na cały dzień, opanowuje myśli moje i przytłumia po części smętność, tę nieodstępną już żywota mego towarzyszkę...“

„Winszuję Wam szczęśliwie obranego stanowiska, na którym też silnie usadowić się umieliście; więcej jeszcze winszuję czytelnikom Waszym, którym podaliście sposobność użycia chwil wolnych w sposób wielce zajmujący, a obok tego wielce korzystny, bo pismo Wasze umiało połączyć gorąco, znamionujące wiek młody, z wytrawnością i mozołem, które zwykle pojawiają się dopiero w wieku późniejszym“.

Zwracam na tym miejscu uwagę ludzi dziwiących się temu, co się u nas czasami o pozytywizmie wypisuje, ludziom wątpiącym o prawdach „oczywistych“, otulających jak wata czasy po roku 64, na rolę wielu „starych“ wśród pozytywistów warszawskich, którzy i wśród „starych“, wrogów swoich, mieli wielu ludzi godnych, jako przeciwnicy, szacunku (np. Kaszewski, Tyszyński, Struve), a sam zawracam do Brzozy, który miał inny pogląd niż Goraj na „zasady“ i „teorie“ sprowadzane z zagranicy.

„Co do nas sądzimy, że każdy człowiek biorący udział w ruchu cywilizacyjnym nie potrzebuje „sprowadzać“ teorii z zagranicy, ale ma obowiązek umysłowy obznajmienia się z najnowszymi prądami filozoficznymi i zdobyczami wiedzy.

...podług nas odgradzanie umysłowości naszej murem od prądów umysłowych, poruszających narody daleko bardziej posunięte na drodze cywilizacji, jest chińszczyzną, którą propagować mogą tylko bardzo ciasne umysły.

...Nic więc nie pomogą wszelkie sofizmaty, wykręty i naciągane majaczenia, mające dowieść, że cały ruch umysłowy obudzony przez młodych był sztuczny, bo „importowany“, gdyż pod pewnymi względami stwierdzał on tylko łączność rozwoju naszego z cywilizacją zachodnią. To byłoby sztucznym i nienaturalnym, gdyby´my się odosobnili od prądów umysłowych z Zachodu, gdybyśmy zamknęli oczy i uszy na najświetniejsze zdobycze naukowe, żyli własnym tylko dorobkiem badawczej myśli, który *z natury rzeczy musi być skąpy, bo nie może się opierać na samodzielnej organizacji środków i instytucyj wychowawczych*“.

Podkreśliłem to, w czym słychać wyraźnie podźwięk kajdanów niewoli. Ale z takiego stanu, w którym z „natury rzeczy“ dorobek polskiej myśli badawczej musiał być zawsze skąpy, żadnych konsekwencyj pozytywiści warszawscy nie wyciągnęli. Były wśród nich umysły tęgie i niepospolite, wielkie zdolności i talenty nielada — ale umysły te wszystkie bez wyjątku były apolityczne. Brzoza nam też powie coś o partii społeczno-politycznej *młodych*.

„U nas nie było i być nie mogło w całym znaczeniu tego słowa stosunków *społeczno-politycznych*, bo każdy wiedział, jak szczupła jest sfera społecznego życia. Wprawdzie pan Goraj twierdzi, że młodzi są takim stronnictwem *społeczno-politycznym*, ale mija się z prawdą, gdyż warto przypomnieć mu, że pierwsi pisarze młodego obozu powstali właśnie przeciw tak zwanej polityce wielkiej, że głosowali za spotęgowaniem pracy wewnętrznej organicznej, za zwiększeniem produkcyjnych sił narodu...

...Jeżeli u nas istotnie nie mogły się zorganizować stronnictwa polityczne, to jednak w dziedzinie umysłowej, mogła się rozwinąć i rozwinęła się walka o zasady społeczne, filozoficzne, walka przeciw obskurantyzmowi, ospałości i martwocie, w jaką chcieli nas pogrążyć ludzie, nie mogący się wyrwać z błędnego koła wspomnień i myśleć o przyszłości w życia praktyce, a nie w sferze mylnych utopij“.

„Wielka polityka“! Oto znowu jeszcze jeden termin, często się w prasie popowstaniowej powtarzający (ulubiony zresztą termin B. Prusa). I odrazu nowe pytanie. Co też pod tą „wielką polityką“ mamy rozumieć? Czy rozważania polityczne w rodzaju rozpraw Kraszewskiego (takie jak te w jego *Rachunkach* zawarte) lub może ks. Kalinki (jak te zawarte w jego *Pismach pomniejszych*)? A może co innego? I na to pytanie: przeciw czemu politycznie publicyści *młodego* obozu powstali? — odpowie nam zapewne dopiero historyk pozytywizmu polskiego. Wyrażam tu nadzieję, która (jak i śledź) budzi pragnienie...

Nakoniec i to przytoczę z *Nieszlachetnej broni* A. Brzozy:

„...z natury rzeczy ścieranie się prądów przeciwnych mogło się u nas głównie i jedynie urabiać w dziedzinie dziennikarstwa, które zapanowało tak wszechwładnie nad ruchem umysłowym, które jest jedynym odbiciem potrzeb, uczuć i serdecznych pragnień kraju, o ile tylko one jawnie się uwydatnić mogą. Jest to naturalnym prawem dynamiki społecznej, że wszelka siła czynna, żywotna tam się zwraca, gdzie znajduje możliwości działania; nic więc dziwnego, że ruch postępowy w sposób naturalny ujawniał się głównie w dziennikarstwie“...

O tym wszechwładnym zapanowaniu dziennikarstwa nad ruchem umysłowym w epoce „pozytywizmu“, która trwała zaledwie lat kilkanaście, trzeba zawsze pamiętać, gdy się rozprawia *o* pozytywizmie polskim. Ma to swoje strony i dodatnie i ujemne, ale zawartość treściowa pracy *młodych* jest złotą kartą w historii dziennikarstwa polskiego, złotą i jak dotąd prawie czystą. Należy tę kartę zapisać i odczytywać w szkołach nauk społeczno-politycznych i w szkołach dziennikarskich. Nic bowiem nie kryje w sobie takiej wartości pedagogicznej jak dobry przykład. A oto co się także na ten przykład składa:

„Kto chce poznać w cyfrach (tak przypomina Świętochowski) wzrost płodności piśmienniczej z tego okresu, niech przejrzy wydawany przez Czarnowskiego *Rocznik Literacki* od r. 1871 do 1879. Tam znajdzie takie zdanie: „Całą literaturę naszą za rok 1871, o ile wyraziła się w książkach, broszurach, kalendarzach i dziennikach, możnaby związawszy w paczkę zabrać pod pachę“. Krupiński twierdził, że „palce jednej ręki wystarczyłyby na policzenie dzieł oryginalnych lub niby oryginalnych“. A w r. 1874 wyszło prac filozoficznych 10, socjologicznych 40, historycznych 93, technologicznych 120“.

Dodać muszę, że to „dziennikarze“ i redaktorzy mieli podówczas skłonność do tłumaczenia dzieł filozoficznych z obcych języków, a jeszcze im i na inne prace czasu starczyło. Prawda, tempo i czasu i zdarzeń było inne, ale oni to są przykładem tego, że dziennikarzem nie jest człowiek zaopatrzony tylko w notatnik i w ołówek.

6. ZDANIE „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ I TRZY GROSZE „HR. LOLA“ Z „CZASU“

Biblioteka Warszawska też miała swoje zdanie w sprawie treści *Zarysu* Chmielowskiego i nie podzielała zdania tych, którzy utrzymywali, że „pan Chmielowski wydał spis wielkich czynów swoich krewnych i swoich znajomych“. Bardzo zachęcające do dalszego czytania zdanie!

„Ktoby nie znał bliżej naszej przeszłości i naszych najnowszych stosunków, mógłby sądzić, że przed odezwaniem się głosów młodych w *Przeglądzie Tygodniowym* nie było u nas życia umysłowego, nie było wyobrażenia o nauce, nie było znajomości istotnych warunków postępu, nie było poczucia dla o´wiaty ludu, dla wartości nauk społecznych itp.“

I krytyk (bezimienny) Chmielowskiego przytacza bez większej znajomości rzeczy to wszystko, co by mogło świadczyć przeciw takiemu stanowisku. W związku zaś z twierdzeniem Chmielowskiego, że w *starej* prasie dotykano uczuć narodowych i obywatelskich *młodych* pozytywistów, krytyk *Biblioteki Warszawskiej* udzielił takiego wyjaśnienia:

„Z tego faktu, że starsi nie chcieli pochopnie uderzyć czołem przed powagą młodszych, nie należało wyciągać wniosku, jakoby starsi podejrzewali czystość obywatelskich celów młodszych antagonistów, bo samo uczucie sprawiedliwości nie pozwala bez żadnego dowodu rzucać kamieniem potępienia na bliźniego. Nikt nie wątpi o czystości ostatniego celu ruchliwych, młodych szermierzy, ale środki, którymi ci szermierze walczyli, były zazwyczaj tak zgodne i tak jednobrzmiące z inkryminacjami najzaciętszych wrogów naszej indywidualności narodowej, że należało reflektować zbyt gorących a nieoględnych retoryków. Okoliczność ta roznamiętniała obydwa zastępy tym bardziej, że językiem „młodej prasy“ można było szermować, gdy język starszych, broniących rodzimej strzechy przed gwałtownymi napaściami jak najsamowolniej podcinano“.

Krytyk *Biblioteki Warszawskiej* nie rzucił w nikogo kamieniem, broń Boże! ale *młodym* wypisał, iż cenzura rosyjska była po ich stronie, że to *starzy* „rodzimej strzechy“ bronili przeciw *młodym*, ale cóż... język mieli podcięty!...

Charakterystyka walki *młodych* ze *starymi* ujawni na pewno w całej pełni metodę polemiki *starych*, którzy mieli te same środki co i *młodzi* (pióra, papier, atrament, druk). Faktem jest jednak, że *młodzi* zbyt często musieli protestować i to bardzo ostro, a i nieraz brutalnie przeciw oskarżeniom równie dotkliwym jak i lekkomyślnym. *Starzy* bronili „strzechy rodzimej“, bo (jak Bartoszewicz mówił *młodym*) „rysowali sobie chałupki“ i szlacheckie dworki, poczytując to sobie za patriotyczny obowiązek (rządził „Moskal okrutny“!), a młodzi pozytywiści byli bardzo a bardzo krytycznie wobec przeszłości polskiej usposobieni.

Co mnie zawsze uderzało w *starej* prasie warszawskiej, to podwójna miara, jaką mierzyła *młodych* „stańczyków“, zdeklarowanych wreszcie austrofilów, i *młodych* pozytywistów warszawskich, którzy rusofilami nie byli. Historyczna szkoła krakowska nie jest wynalazkiem pozytywistów warszawskich, aczkolwiek byli oni tej szkoły zwolennikami. Prasa konserwatywna warszawska nie broniła jednak zbytnio albo wcale nie — „strzechy rodzimej“ przed Szujskimi, Bobrzyńskimi i innymi, ale gorliwie broniła przed Świętochowskimi i Chmielowskimi, i to w sposób — jakby tu powiedzieć oględnie ale i ściśle jednocześnie? — obrzydliwy. I jeszcze mnie jedno uderza... oto używanie jednakowych „argumentów“ wobec pozytywistów przez *młodą* prasę krakowską a *starą* warszawską. Trzeba zbadać (bo to ciekawe!), skąd dokąd te jednakowe „argumenty“ przeciekały“: z Warszawy do Krakowa czy z Krakowa do Warszawy.

* Por. *Pion*, nr. 46 (163).

W *Czasie* krakowskim o *Zarysie* Chmielowskiego sąd wydał Ludwik („hr. Lolo“) Dębicki, który napisał, że rozumie to, iż „młody a niedouczony przyrodnik, zamiast objektywnie badać naturę, idzie na lep pozytywizmu Comte'a lub darwinizmu“ i „bawi się w filozofa i teologa zarazem“, ale czego — jak wyznał — nie rozumiał, to „pozytywisty-estetyka“, właśnie Chmielowskiego (pozytywista — tak! ale zaraz „estetyk“?), bo „jeżeli prawdą jest, że nie ma nic okrom materii, że okres wiary i okres filozofii były złudą — gdzie miejsce dla piękna?“ Gdyby Dębicki tylko takie rzeczy wypisywał, uszłoby mu to w r. 1881 zapewne płazem, ale gdy wspomniał nie tylko o „szkółce zachodniego pozytywizmu“, ale i to, że miała ona „pewne powinowactwo z tym, co przychodziło z północy, używała nadto, co faktem jest stwierdzonym, większej względności cenzury“ — więc się doczekał takiej odprawy w *Przeglądzie Tygodniowym:*

„Szubrawiec, który wyciąga chustkę z kieszeni lub fałszuje podpis, zamykany jest w więzieniu; ale literat, który obiera innych bez dowodu z dobrej sławy i paszkwiluje — używa często dobrego imienia“.

Nie zalecam tego sposobu polemiki, ale i krytyk w rodzaju Dębickiego — też nie. Albo: krytyk *Biblioteki Warszawskiej* odpierał zarzut Chmielowskiego, że *stara* prasa nie była demokratyczna, ale musiał dodać:

„Któraż to redakcja ze starszych pism potępiała zasady demokratyczne na gruncie narodowym wzrastające? Kosmopolitycznego liberalizmu, na bezwyznaniowości opartego, nie można przecież mieszać z zasadami prawdziwie demokratycznymi“.

A któż taki bezwyznaniowy liberalizm kosmopolityczny szerzył w Warszawie? Przecież nie pozytywiści. Ale i tego rodzaju kamienie rzucali do ich ogródków i *starzy* miejscowi i *młodzi* krakowscy. Nie zgadza się krytyk z *Biblioteki Warszawskiej* „z p. Chmielowskim co do tego, jakoby znamieniem postępu miało być zajęcie stanowiska wiedzy dzisiejszej niezależnej od wiary“. I z tego powodu tak pisze:

„Nie pojmujemy, jak można któremukolwiek organowi w kraju chrześcijańskim i przeważnie katolickim poczytywać to za wadę, za stronę ujemną, za dowód wstecznictwa, że szanuje wiarę ojców, że czci zasady wiary? Pan Chmielowski tego wyraźnie nigdzie nie twierdzi, ale charakterystyka tego najnowszego w literaturze naszej *postępu*, dla którego sympatie swoje otwarcie zaznacza, z tego mętnego, jaki widzimy, płynie źródła“.

„Nie twierdzi“ — „ale“...!

A pan Chmielowski, streszczając ogólnie niektóre poglądy szerzone przez *Niwę*, pisał o tym, że do reformy ideałów społecznych dostarczyć ma wskazówek nauka; „nauka zaś. wiedza, musi być niezależna i rozwijać się swobodnie *obok* wiary“.

A na pociechę serc pozytywistów dorzuciła *Biblioteka Warszawska:*

„Jeżeli wreszcie „młoda prasa“ oburzała się słusznie na potworne insynuacje, krzywdzące najszlachetniejsze uczucia każdego Polaka, to niechaj gniew ukoi cokolwiek ta okoliczność, że jej *modus procedendi in spiritualibus et in politicis* przybierał takie znamiona, że wszyscy ci, którzy nad zagładą naszego imienia pracowali, uważali i dziś jeszcze uważają jej obóz za swoich stronników i sprzymierzeńców. Fakt ten powinienby postępowców naszych zreflektować co do tego, że ścieżka, którą idą, nie prowadzi do celu, do którego wszyscy dążymy; nie można miotać gniewem na współziomków za to, że się pozorami omylić nie dali“.

We wszystkich ówczesnych redakcjach warszawskich odbywały się w terminach ustalonych t. zw. „sesje“ redakcyjne. Przypominam, że napisałem, iż *młoda* prasa swoimi atakami na *starą* dźwignęła także poziom *Biblioteki Warszawskiej*, ale informuję, że w r. 1881 na sesje w tym magazynie już nie przychodzili: A. Pawiński, H. Struve i T. Korzon.

Historyk pozytywizmu zapewne stwierdzi po sprawdzeniu to, co i Chmielowski: napastliwość *młodych* i namiętność ich polemik (krytycyzm burzący!), ale wątpię, aby wykrył w ich atakach: oszczerstwo, kłamstwo, przewrotność i... nie „postronne“, ale potworne „insynuacje, krzywdzące najszlachetniejsze uczucia każdego Polaka“...

W *Bibliotece Warszawskiej* nazwano (w innym krótkim artykuliku) *Tendencyjność i krytykę* Goraja „niebardzo zręczną gawędą“, ale przedtem istotę walki *młodych* ze *starymi* wyłożył kto inny.

DCN

KAROL HŁAWICZKA:

NIEWYDANE ZBIORY OSKARA KOLBERGA

Kompletując *Lud* Oskara Kolberga natknąłem się na ostatni wydany tom tej serii, *Kaliskie* I (tom XXIII), którego tytuł już wskazywał, że seria ta nie jest skończona. Zacząłem więc szukać po różnych antykwariatach w Warszawie, Lwowie i Krakowie drugiego tomu *Kaliskiego*, zawierającego dział szczególnie mnie interesujący—„Pieśni i tańce“, — niestety bezskutecznie. Dopiero z przedmowy do *Przemyskiego*, wydanego przez przyjaciela Kolberga, dr. I. Kopernickiego, z pośmiertnych materiałów w roku 1891, dowiedziałem się, że „dalsze tomy *Mazowsza* i drugi tom *Kaliskiego*“ były już swego czasu „do druku przygotowane“. Ponieważ wzmianka ta niezmiernie mnie zaintrygowała, poświęciłem podczas przelotnej bytności w Krakowie nieco czasu na odnalezienie teczek z materiałami pozostawionymi w manuskrypcie przez Kolberga. Po bezskutecznych poszukiwaniach w Bibliotece Jagiellońskiej, Czytelni Akademii Umiejętności, Muzeum Etnograficznym, Komisji Językowej A. U. dotarłem w końcu do osoby kompetentnej, zasłużonego etnografa, dr. Tadeusza Seweryna, który potrafił mi udzielić wyczerpujących informacyj co do spuścizny kolbergowskiej. Przejrzałem więc niedawno sporządzony katalog zawartości teczek pozostałych po Kolbergu i same teczki znajdujące się w salach Komisji Etnograficznej A. U. Dłuższe studium tych teczek podczas następnego pobytu w Krakowie pozwoliło mi zdać sobie sprawę z *olbrzymiej ilości materiałów etnograficznych*, częściowo przygotowanych do druku, częściowo wymagających jeszcze uporządkowania, a *dotychczas nie wydanych.*

Jeden z wydawców materiałów pośmiertnych Kolberga, Seweryn Udziela, mówi o tym we wstępie do wydania materiałów etnograficznych z okolic *Tarnowa* i *Rzeszowa*[1] w sposób następujący:

„O. Kolberg gromadził całe życie materiały do swego dzieła *Lud* i zaraz, jak przybywały, rozdzielał je według grup etnograficznych i umieszczał w tekach osobnych.

Teki te wypełniały się z latami, pęczniały, a gdy zawartość ich obejmowała już całokształt życia ludowego danej okolicy, uzupełniał ją ostatecznie, opracowywał i ogłaszał drukiem.

Tak powstało kilkadziesiąt tomów *Ludu*, które Kolberg wydał sam w czasie swego długiego i pracowitego żywota. Nadto zostawił nam w spuściźnie materiał rękopiśmienny w tekach kilkunastu, materiał mniej lub więcej zupełny, w każdym razie cenny i godzien jak najrychlejszego ogłoszenia drukiem“.

Znany zaś etnograf Adam Fischer pisze w setną rocznicę urodzin[2] Kolberga: „Nie chce się wierzyć, żeby jeden człowiek był zdolny stworzyć tak olbrzymie dzieło. Jakżeż więc wzrasta nasze zdziwienie, gdy dowiemy się, że pozostawił w rękopisie w swych sławnych teczkach na drugie *trzydzieści* tomów wiele materiału, zebranego na *Mazowszu pruskim*, w *Prusach zachodnich*, że obejmuje ponadto *Kaliskie, Śląsk pruski i austriacki, górali tatrzańskich i nowotarskich, Spisz, Podgórze, Krakowskie, Kraków i okolicę, Tarnów, Rzeszów, część Jasielskiego i Nowosądeckiego, Ruś Czerwoną, Huculy, Podole Rosyjskie, Ukrainę, Wołyń, Polesie wołyńskie, Pińszczyznę, Białą Ruś i Litwę*, a obok tego wiele tek z luźnymi notatkami“.

Również Stanisław Lam wspomina[3] o materiale „na blisko tomów trzydzieści“.[4]

Obliczenia te wydają mi się nieco przesadne, potwierdzają jednak fakt, że *olbrzymia ilość materiałów pośmiertnych Kolberga* (zaznaczmy to zaraz z góry — niezwykle cennych) *od czasu śmierci Kolberga w roku 1890 czeka na wydawcę.* Pewna część tych materiałów została co prawda opublikowana, nie są to jednak materiały najwartościowsze. A mianowicie przyjaciel i ideowy spadkobierca Kolberga, dr. I. Kopernicki, wydał prócz wyżej wspomnianego *Przemyskiego* w r. 1891 tylko jeszcze II tom *Chełmskiego*, również w r. 1891. Śmierć przeszkodziła mu w kontynuowaniu powierzonej misji. Nieco później ogłosił drukiem Seweryn Udziela zawartość dwóch skromniejszych co do ilości materiałów teczek w „Materiałach antrop.-archeol. i etnogr.“ — *Szląsk Górny* w r. 1906 (stron 72) i *Tarnów—Rzeszów* w r. 1909 (stron 205). Józef Tretiak zaś opublikował w r. 1907 *Wołyń*, w którym zamieścił głównie pieśni z pominięciem innych materiałów etnograficznych, jako nieoryginalnych, zaczerpniętych z obcych źródeł. Tutaj należy także wspomnieć o *Melodiach ludowych litewskich*[5], wydanych przez Jana Baudouina de Courtenay w r. 1900, które aczkolwiek zebrane przez ks. A. Juszkiewicza, zostały oddane O. Kolbergowi do opracowania i w stanie częściowo tylko przez Kolberga uporządkowanym znalazły się w jego teczkach pośmiertnych.

Ponieważ materiały pozostawione przez Kolberga przedstawiają, jak to już zaznaczyłem, wartość niezwykłą (niektóre zapiski sięgają roku 1843) i zasługują na to, by je jak najszybciej wydano, chciałbym przedstawić zawartość choćby kilku teczek i podkreślić ich znaczenie.

Zaznaczam przy tym, że jako muzyk interesowałem się przede wszystkim tym działem, który Kolbergowi szczególnie był bliski, to znaczy muzyką ludową — i z tego punktu widzenia głównie będę przedstawiał spuściznę Kolberga.

Przyjrzyjmy się najpierw seriom nie dokończonym wskutek śmierci Kolberga. O *Chełmskim*, tom drugi, już wspominałem, pozostaje do omówienia II tom *Kaliskiego* i dalsze tomy *Mazowsza*. Zdanie Kopernickiego, że II tom *Kaliskiego* i dalsze tomy *Mazowsza* są przygotowane do druku, wymaga pewnej korekty. Materiały te rzeczywiście są uporządkowane i ponumerowane przez Kolberga, wymagają jednak jeszcze pewnych — niewielkich zresztą — uzupełnień.

Teczka nr. 8, zatytułowana *Kalisz, Sieradz, Piotrków, Wieluń*, zawiera 9 kopert z następującymi napisami: 1) 253 pieśni z melodiami, 2) 9 piosnek bez melodyj, 3) Pieśni nabożne — (w nawiasie uwaga:) do przejrzenia i porównania ze śpiewnikami kościelnymi, 4) Czary, przesądy, leki, wróżby, przepowiednie, 5) Powieści, bajki, przysłowia, gry, zabawy, 6) Tańce — (w nawiasie uwaga widocznie kogoś obcego:) bez ładu są tu rozmaite rzeczy, 7) Tańce, 8) Luźne, 9) Spis miejscowości.

Nie przeglądałem innych kopert poza tymi, które odnoszą się do muzyki, co do pieśni i tańców stwierdziłem jednak pokaźną ilość materiału bardzo interesującego, w dodatku z okolic, z których nie mamy prawie żadnych publikacyj pieśni.

Teczka nr. 3 nosi tytuł *Pruskie Mazury*. Już w pierwszym tomie *Mazowsza*[6] zapowiadał Kolberg materiały z „Mazowsza pruskiego, obejmującego powiaty Węgoborski, Janowski, Gołdapski, Lecki, Łęcki (Ełk). Margrabowski, Sysborski, Szczytnicki i Niborski“. Materiały te budzą ciekawość między innymi z tego względu, że część tych materiałów pochodzi od ks. Gizewiusza, z którego rękopisu korzystał Kolberg już w pierwszym swym dziele *Pieśni ludu polskiego*, Seria I, 1857[7]. Teczka to bardzo bogata, bo prócz obfitej ilości materiałów odnoszących się do „ludności, języka, literatury, pism, germanizacji, zwyczajów“ zawiera 529 tekstów pieśni z 63 melodiami[8]. Ta olbrzymia ilość pieśni z dzielnicy ulegającej coraz to więcej wpływom germanizacji winna jak najszybciej zostać opublikowana, choćby jako kontrakcja działalności, jaką w tej dzielnicy rozwijają Niemcy. Joseph Müller-Blattau donosi w swej pracy naukowej o pieśni mazurskiej: *Zur Erforschung des ostpreussischen Volksliedes* o zebraniu 5.000 pieśni na Mazowszu pruskim przez nauczycielstwo; dość znaczną ilość pieśni nagrano na płyty, a część wydano w niemieckim tłumaczeniu *(in deutscher Umdichtung)*[9]. *Mazowsze pruskie* byłoby VI tomem *Mazowsza*, w tomie zaś VII ew. VIII znalazłyby się wspólne wszystkim dzielnicom Mazowsza wierzenia ludowe, podania, gadki i t. p. Kopernicki, wspominając o tych ostatnich materiałach w przedmowie do *Przemyskiego* (str. XVI), przeznacza je mylnie do tomu VI, nie orientując się w ogólnym planie wydawnictwa *Mazowsza*, nakreślonym przez Kolberga na początku pierwszego tomu.

Przez wydanie więc VI—VIII tomu *Mazowsza* uzyskalibyśmy dopiero pełny obraz etnograficzny Mazowsza, tak jak go sobie uplanował Kolberg i jak to uprzednio przeprowadził n. p. w IX — XV tomie *Ludu*, dając całokształt życia ludowego W. Ks. Poznańskiego. W obecnym stanie owych 5 tomów *Mazowsza*, zresztą bardzo cennych, przedstawiają serię wydawniczą zdekompletowaną.

Teraz jeszcze kilka wiadomości o innych teczkach. Teczka nr. 11 nosi tytuł: *Gorale—Podhalanie Beskidowi*. Materiały w teczce tej zawarte uporządkowane są według treści w sposób następujący: „A. Materiały oryginalne: język, zwyczaje, wesele, pieśni, tańce. B. Materiały wypisane“, odnoszące się do „ludu, roli, chaty, jadła, zwyczajów i t. p.“ W osobnej kopercie, zatytułowanej: „Rzeczy wyłączone“, znajdują się materiały odnoszące się do Spisza z mniej więcej 50 melodiami. Taki podział materiału — szczególnie na działy materiałów oryginalnych i wypisanych — został wprowadzony, zdaje się, przez dr. Stanisława Zdziarskiego, któremu powierzono przygotowanie do druku tomu *Podhale*. W teczce jest bowiem zupełnie do druku gotowy manuskrypt z napisem: „*Sądeczyzna i Podhale*, z rękopisów pozgonnych wydał dr. St. Zdziarski. Kraków 1905“. We wstępie zaś powyższego manuskryptu zaznacza wydawca, że wyłączył wszystkie materiały nieoryginalne. Gdyby Kolberg wydawał swoje *Podhale*, to zapewne tak jak w innych dziełach zużytkowałby wszystkie dostępne mu materiały obce. Między innymi z pewnością wyzyskałby pracę Jana Kleczyńskiego *Melodie Zakopiańskie i Podhalskie*[10], której odpis, własnoręcznie przez Kolberga dokonany, znajdujemy w teczce. Tym też zapewne tłumaczy się fakt, że spopularyzowanych przez Kleczyńskiego i Paderewskiego pieśni góralskich nie znajdujemy wśród pieśni zapisanych przez Kolberga. Dlatego uzupełnienie nimi pracy Kolberga przyczyniłoby się do nadania jeszcze większej wartości zbiorowi pieśni podhalańskich, chyba najbogatszemu. Bo z całą słusznością tak można nazwać zbiór 689 pieśni podhalańskich, w tym 383 z melodiami.[11] Tom *Sądeczyzna i Podhale* jest zbiorem tak cennych materiałów, że można wyrazić tylko zdziwienie, iż możliwy jest fakt zapomnienia conajmniej przez 30 lat gotowego do druku manuskryptu.

Nie mniej interesująca jest teczka nr. 6, zatytułowana *Prussy zachodnie, Kaszuby, Polaby, Łużyce*. Materiały w tej teczce zamieszczone należą do zupełnie nieuporządkowanych. Melodie n. p. pieśni, jakkolwiek zapisane są czysto i wyraźnie, wymagają dopiero odcyfrowania z zapisków Kolberga o mikroskopijnych rozmiarach i przepisania. Zapewne i te materiały przedstawiają wartość nielada, jeśli dodać, że w pracy pomagał Kolbergowi znany działacz i publicysta kaszubski Fl. Stanisław Ceynowa, że teczka ta zawiera około 150 melodyj, między innymi melodie pieśni „z Zoppot“, co samo przez się stanowi fakt niezmiernie ciekawy.

Na tym nie koniec. Teczki Kolberga zawierają jeszcze wielką, kilkotomową pracę, na miarę *Poznańskiego, Pokucia* lub *Mazowsza* — a mianowicie *Ruś Czerwoną*. Materiały te znajdują się w teczkach nr. 18, 18a, 19 i 20. Teczka 18. obejmuje materiały z okolic Jasła, Sambora, Przemyśla. Materiały te zostały — o ile się nie mylę — przepisane i przygotowane do druku przez J. Bielę i w tej formie wypełniają teczkę 18a. Praca ta według ustalonego porządku kolbergowskiego dzieli się na „kolędy, pieśni sobótkowe, opis wesel, pieśni“ (wśród nich łemkowskie, także z okolic Krynicy), w końcu „podania i legendy“. Teki 19. i 20. opracowane zostały i częściowo przygotowane — jednak nie w tak skończonej formie jak w teczce 18a — przez J. Grzegorzewskiego. Teka 19. zawiera na 503 kartach materiały ułożone według powiatów; i tak widzimy koperty z następującymi napisami: powiat

---

[1] *Tarnów — Rzeszów*. Materiały etnograficzne, zebrał Oskar Kolberg, uporządkował i wydał Seweryn Udziela. Materiały antrop.-archeol. i etnogr. Tom XI. Kraków 1909.

[2] Adam Fischer: *Oskar Kolberg* (w setną rocznicę urodzin). *Ziemia*, rok V, nr. 8. Warszawa — Lwów 1914.

[3] Stanisław Lam: *Oskar Kolberg*. Żywot i praca. W setną rocznicę urodzin autora „Ludu“ polskiego. Nakładem Macierzy Polskiej. Lwów 1914.

[4] Mimo tych wyraźnych oświadczeń urobiło się przekonanie, że wszystko, co Kolberg zebrał, zostało bądź to przez niego, bądź to przez jego następców wydane. Dr. Zdz. Jachimecki pisze w wydawnictwie zbiorowym *Polska, jej dzieje i kultura* na str. 670: „Po śmierci Kolberga w r. 1890 doprowadzili dzieło jego do końca (!), wydając zebrane przez twórcę *Ludu* materiały, dr. I. Kopernicki i S. Udziela“. Podobnie pisze dr. St. Łobaczewska w artykule „Muzykologia polska“ w wydawnictwie *Muzyka Polska*, Warszawa 1927: „Pośmiertne materiały po Kolbergu zostały wydane przez Polską Akademię Um. w Krakowie oraz uzupełnione melodiami z ziem poznańskich przez Kantora (?!) i Szembekównę“.

[5] *Melodie ludowe litewskie*, zebrane przez ś. p. ks. Antoniego Juszkiewicza, opracowywane przez ś. p. O. Kolberga i ś. p. I. Kopernickiego, a ostatecznie wydane przez Z. Noskowskiego i J. Baudouina de Courtenay. Kraków 1900. Nakładem Akademii Um.

[6] *Mazowsze* I, str. 6.

[7] O. Kolberg mówi we wstępie, str. XI: „Czuję się w obowiązku oświadczyć moje podziękowanie... K. W. Wójcickiemu za udzielenie mi rękopisu pracowitego niegdyś ś. p. ks. Gizewiusza (pastora ewang. w Osterode w Prusach Wschodnich), bo wzbogacił ten zbiór trzydziestu kilku melodiami i znaczną ilością tekstu“.

[8] Dla porównania przytaczam następujące dane: dr. W. Kętrzyński opublikował w broszurze p. t. *O Mazurach* z r. 1872 — 54 pieśni, J. Sembrzycki zaś w *Wiśle* w r. 1897 — 34 pieśni z Mazowsza pruskiego.

[9] *Masurische Volkslieder mit Bildern und Weisen*. Berlin und Leipzig 1934. *Masurische Volkslieder*. Borowski, Lukat. Königsberg 1930.

[10] Jan Kleczyński: *Melodie Zakopiańskie i Podhalskie*. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego, rok XII, 1888.

[11] Jak błędne informacje posiadają nasi uczeni wskutek nieogłoszenia pośmiertnych materiałów, niech świadczy następujący wyjątek z artykułu wyżej cytowanego dr. St. Łobaczewskiej p. t. „Muzykologia polska“: „Dr. Chybiński... prowadzi też dalej pracę zbieraczą na Podhalu, etnograficznie niezmiernie ciekawą, *a przez Kolberga nie uwzględnioną*“.

lwowski, brodzki, złoczowski i żółkiewski. Podobnie w teczce 20. obejmującej 569 kart posegregowany jest materiał według powiatów: powiat stryjski, brzeżański, stanisławowski, tarnopolski, czortkowski, poza tym są jeszcze trzy koperty z napisami: Bukowina, Pokucie, Ruś węgierska. Na teczce widnieje uwaga „2 tomy“ z czego należy wnioskować, że opracowujący obliczał ilość tego materiału na 2 tomy. Ruś Czerwona obejmowałaby więc materiał conajmniej czterotomowy.

Z powyższego opisu teczek kolbergowskich można obliczyć zawartość materiałów nie wydanych na co najmniej 10 tomów, nie licząc luźnych materiałów, które należałoby również wydać w tomach dodatkowych. W ten sposób urosłaby biblioteka dzieł Kolberga do imponujących rozmiarów z górą 50 tomów. [12] W wyżej już raz cytowanym artykule [13] wyraża A. Fischer żal, że rękopisy Kolberga nie zostały dotychczas wydane. „Szkoda to istotnie wielka dla polskiej etnografii, bo można stanowczo bez wahania twierdzić, że wszystkie zapiski Kolberga mają nieocenioną wartość dla ludoznawstwa, są „czystym złotem etnograficznym“, bez żadnych dodatków, retuszów, ogładzeń czy poprawek, podane wiernie z ust ludu i po kilkakroć niejednokrotnie sprawdzane“. Zapewne, że powyższe słowa może nie odpowiadają zupełnie istotnemu stanowi rzeczy, bo niejeden szczegół w dziełach Kolberga poddano już ostrej krytyce i niejedne zapatrywania i poglądy jego obalono. Nie ulega wątpliwości, że Kolberg nie podawał wiernie tekstów pieśni, że je w pewnych dziełach nawet pozbawiał gwarowości, że ze stanowiska fonetycznego jeśli nie zapisywał ich błędnie, to co najmniej niezupełnie ściśle, że teksty te ze względów purystycznych retuszował lub skracał. Nie ulega też wątpliwości, że i tekst muzyczny nie zawsze jest ścisły, ponieważ Kolberg nie podaje n. p. wielogłosowej muzyki ludowej, notując wyłącznie melodię, że melodie te nie zawsze brał z ust ludu, a czasem nawet przepisywał z układów fortepianowych [14], że ze względów oszczędnościowych używał pisowni skróconej, która wywołuje wiele nieporozumień. [15]

Mimo to materiały zebrane przez Kolberga przedstawiają wartość bezcenną, ponieważ niczym nie dadzą się zastąpić i sięgają czasów, kiedy kultura ludowa była mniej narażona na unifikujący wpływ komunikacji i radia. Dotychczas wydane tomy Kolberga służyły i służą ciągle jako podstawa do przelicznych prac naukowych z najróżnorodniejszych dziedzin oraz wydawnictw o znaczeniu praktycznym. Kolberg był i pozostanie nadal właściwie jedynym źródłem ludoznawstwa polskiego. [16] Materiały przez niego opublikowane okazały się tak wartościowe, że konieczność wydania dalszych materiałów, dotychczas leżących w manuskrypcie, wydaje się czymś samo przez się zrozumiałym i oczywistym. Należy wyrazić tylko zdziwienie, że dotychczas to się nie stało. Dzieło Kolberga nie doczekało się ukończenia w setną rocznicę urodzin jego twórcy — czyż nie doczeka się tego i w pięćdziesiątą rocznicę jego zgonu, przypadającą na rok 1940? Dziwnym zbiegiem okoliczności po śmierci twórcy *Ludu* ogłoszono drukiem z większych prac *Wołyń*, *Chełmskie* i *Przemyskie*, a zaniedbano wydania materiałów z dzielnic rdzennie polskich: Mazowsza, Kaliskiego (Częstochowa!), Podhala, Pomorza i innych.

Mówiąc o wydaniu nieznanych dotąd prac Kolberga chciałbym poruszyć jeszcze kwestię funduszów, z których Kolberg czerpał środki na opublikowanie swego monumentalnego dzieła. Cytuję kilka enuncjacyj prawie zgodnych w tej sprawie. St. Lam pisze: „Otrzymał wprawdzie pomoc finansową na nakład *Ludu* od Akademii i Kasy Mianowskiego, ale pomoc ta była tak nieznaczna, że do każdego tomu musiał z własnych funduszów dokładać po 600 — 800 zł., co stanowiło cały przychód z poprzednich edycyj. Poza tym żył niemal w biedzie“. Kopernicki mówi o tym samym w sposób następujący: „Grono przyjaciół i wielbicieli O. Kolberga urządziło na cześć i korzyść jego koncert osobny, z którego dochód dał mu możność wydania dwóch tomów *Pokucia*. Dzięki zaś stałemu poparciu materialnemu, jakie przez lat kilkanaście otrzymywał od Tow. Naukowego, a potem Akademii Um. w Krakowie, tudzież w latach ostatnich z Kasy Mianowskiego w Warszawie, z dodatkiem bardzo znacznej części niesłychaną oszczędnością zbieranych środków własnych, udało mu się za życia jeszcze wydać na świat przeszło 4/5 zgromadzonego przez siebie materiału“. A. Fischer w końcu donosi, że „swe materiały etnograficzne przekazał Akademii Umiejętności w Krakowie, a z pozostałej gotówki 2.500 zł. przeznaczył 500 zł. na cele dobroczynne, 200 zł. trzem zecerom z drukarni uniwersyteckiej, resztę przeznaczył na wydawnictwo *Chełmskiego* i innych dzieł“. Prócz wyżej wymienionych funduszów, tylko jeszcze Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie brało udział finansowy w wydaniu pośmiertnym *Przemyskiego*.

Powyżej przytoczone fakty jeszcze mocniej uwypuklają wysiłek i zasługi Kolberga, który nie tylko doprowadził do zgromadzenia imponującej ilości materiałów, ale ofiarą swego majątku i kosztem życia osobistego uskutecznił ich wydanie.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że znajdą się lub dadzą się uruchomić fundusze, które by umożliwiły Polskiej Akademii Umiejętności dokończenie edycji dzieł Kolbergowych. Zasługa zaś i praca Oskara Kolberga zostały już należycie ocenione i ustalone, tak że nie potrzeba chyba precyzować argumentów, które by potrzebę i konieczność jak najrychlejszego opublikowania jego spuścizny usprawiedliwiały.

[12] *Lud* Kolberga składa się z 23 tomów (doliczając do całości *Pieśni ludu polskiego* z r. 1857 jako tom I, co zresztą usankcjonował sam Kolberg przez odpowiednią numerację tomów); do tego należy doliczyć później wydane: *Mazowsze* — 5 tomów, *Pokucie* — 4 tomy, *Chełmskie* — 2 tomy, *Przemyskie* — 1 tom, *Wołyń* — 1 tom: razem 36 tomów. Z materiałów nie wydanych powstałyby dalsze 12 — 15 tomów, w których winny by się znaleźć również prace Kolberga, opublikowane w Materiałach antr. arch. i etn.: *Ziemia Dobrzyńska* (zazwyczaj pomijana przy wyliczaniu prac Kolberga), *Śląsk Górny*, *Tarnów i Rzeszów* i inne mniejsze.

[13] A. Fischer: *Oskar Kolberg*, j. w.

[14] Por. nr. 412—418 w *Kujawach*, tom II, z kujawiakami hr. M. Miączyńskiego.

[15] Kolberg wciska w ramy 4 taktów zazwyczaj ośm taktów, zaznaczając drobnymi nutkami różnice.

[16] Dr. Fr. Gawełek mówi w przedmowie do swej *Bibliografii ludoznawstwa polskiego*: „Zbiory Kolberga to kamień węgielny pod przyszły gmach badań ludoznawczych“. Dr. Z. Jachimecki zaś twierdzi w swej pracy „Muzyka polska od roku 1796 do roku 1865“ w dziele *Polska, jej dzieje i kultura*, że *Lud* Kolberga jest „jednym z najwspaniałszych pomników nie tylko polskiej, ale ogólnej etnografii“.

S. I. WITKIEWICZ:

WSTĘP DO FILOZOFII DLA LAIKA

Filozofia uważana jest przez przeciętnego laika za coś niezmiernie nudnego, nad czym należy się pobłażliwie, w najlepszym wypadku, jeśli nie z pogardą uśmiechnąć, a zajmującego się nią traktować z pobłażaniem, jako kogoś niespełna rozumu. Biedni ludziska nie wiedzą, że takim z góry powziętym stanowiskiem pozbawiają się jednego z największych dóbr duchowych, tkwiących w istnieniu, a dostępnego dla wszelkich zwierząt, używających tych samych znaków dla oznaczenia podobnych rzeczy; bo do tego da się ostatecznie sprowadzić pojęciowość wogóle, która, raz w ruch puszczona, pozwala człowiekowi nie tylko udoskonalić egzystencję swą technicznie i dążyć ku coraz wyższym formom istnienia, z początku indywidualnego na niekorzyść masy, a dalej ku coraz doskonalszej formie bytu społecznego, ale daje jeszcze możność przekroczenia nieprzekraczalnych dla niepojęciowego stwora granic jego osobowości w obrębie codziennego, bydlęcego jego dnia i wzniesienia się na szczyt myśli wogóle: t. j. rozważania całości nieskończonego bytu, nie w jego materialnej istocie, tylko w problematyce, opartej o zasadniczą podstawową jego dwoistość. Bo Istnienie jest dwoiste: tego nie zaprzeczy nikt — choćby w poglądzie życiowym, poglądzie najcodzienniejszego dnia: a więc przede wszystkim jest on sam, t. j. każdy z nas, nieszczęsne stworzenie, zaplątane w transmisję życiowych zagadnień, dany sam sobie osobowo, tak jak nikt przez całą wieczność ani w całej nieskończonej przestrzeni sobie danym być nie może: t. zn. jako „ja“, trwające, wypełnione przeżyciami, związane w nierozdzielną jedność ze swym ciałem, które w pewnym sensie, z punktu widzenia tylko tego, co przeżywa dane „ja“: dana osobowość jedna i jedyna, możemy określić też jako jedno z jego przeżyć, albo raczej związany stale ich kompleks, czyli pewien zespół. Ciało nasze bowiem rozpada się, gdy się nad nim zastanawiamy jako nad naszym stałym przeżyciem, a nie nad organizmem obiektywnym, podobnym do innych organizmów innych ludzi i stworzeń, na całą masę związanych ze sobą czuć dotykowych zewnętrznych: przyjemnych, obojętnych i przykrych aż do bólu i czuć organowych wewnętrznych, mięśniowych, ścięgniowych i stawowych również w skali poprzedniej, tego całego kompleksu, który można nazwać naszą bebechowatością i z której rodzą się, prócz samego poczucia naszego własnego istnienia, wszystkie nasze nastroje, nieokreślone stany, aż do najsubtelniejszych włącznie, nasze uczucia włącznie do najwznioślejszych, oczywiście z dodatkiem różnych kombinacji wspomnień, wyobrażeń, a nawet myśli, w formie następstw obrazów lub nawet znaków, które to wszystkie elementy zaliczamy do t. zw. duchowej strony naszego istnienia, do ściślejszego naszego „ja“, które tylko trwa, ale przestrzennie samo niby nie istnieje, a tylko jako związane pozornie luźnie dość z naszym ciałem.

Ale widzieliśmy, że ciało rozpadło się nam — o ile oczywiście rozpatrujemy je takim, jakim je bezpośrednio w sobie przeżywamy — na nasze czucia, które musimy też jako czucia do naszej duchowej strony zaliczyć. A te nasze niby duchowe, te najduchowsze składniki, same najbardziej wysublimowane myśli, to przecież też nic innego, jak kombinacje pewnych czuć, o ile oczywiście nie rozpatrujemy ich znaczeń utrwalonych w pewnych stałych znakach, znaczeń, które możemy zawsze prawie w pamięci wywołać. Musimy rozróżnić dwa sposoby rozpatrywania myśli: tak jak nasze ciało mogliśmy rozpatrywać jako pewne nasze, związane ze sobą stale i powtarzające się, przeżycia, tak samo myśli możemy brać jako przepływające w naszych świadomościach, albo też jako utrwalone w jednoznacznych, do pewnego stopnia zawsze identycznych znakach mowy lub pisma.

Myśli nasze to przesuwające się w naszym trwaniu obrazy w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc utwory nie tylko z wspomnień i fantazji wzrokowych się składające, ale także ze wszelkich wspomnień i fantazmatów jakichkolwiek czuć prostych: słuchowych, dotykowych, i to wewnętrznych w poprzednim znaczeniu t. j. tych bebechowych i zewnętrznych, a następnie zapachowych, smakowych — jednym słowem wszystkich. Chodzi tylko o to, że przy myśleniu znakami, myśleniu bardziej ścisłym i skondensowanym, znakom odpowiadają, w czasie jego uczenia się, utrwalone z nimi w związki stałe, skojarzeniowe, jego znaczenia. Znaczenie danego znaku dla nas to tylko to, cośmy w pamięci i w związku z tym znakiem utrwalili, a dalej odpowiednik tego znaku i tego wyobrażenia realny, w braku zaś takiego odpowiednika realnego, np. w wypadku pojęcia cnoty, odpowiednikiem będzie definicja tego pojęcia przy pomocy innych pojęć. Nie ma w samym fakcie myślenia żadnej specjalnej tajemnicy: nie ma pojęć, które mają znaczenia, tylko znaki: znak o pewnym znaczeniu to pojęcie właśnie, a jego znaczenie, to to, co mamy wszyscy w przybliżeniu danym nam w wyobraźni, jako jego możliwy odpowiednik. A gdy takiego nie ma, przy pojęciach oderwanych, istnieje tylko określenie danego znaku za pośrednictwem innych pojęć, już uprzednio zdefiniowanych.

Ale ostatecznie dojść musimy zawsze do pojęć prostych, którym odpowiadać będą rzeczy proste, nie dające się określić, czyli zdefiniować, a tylko jedynie ukazać: do takich prostych rzeczy będę należał przede wszystkim ja sam i każdy ktoś sam dla siebie w swych przeżyciach dany, a następnie wszystkie proste składniki jego przeżyć, na które te przeżycia w ostatecznej analizie rozbijamy, a mianowicie te czucia, o którycheśmy mówili, czyli jakości proste, albo proste własności ciał i przedmiotów — jak kto woli, a więc: zapachy, dźwięki, barwy, dotyki i czucia wewnętrzne. Ale jeśli własności przedmiotów takie jak barwy, zapachy i t. p. uznaliśmy za nasze czucia, to nie mamy żadnej przeszkody, aby też za czucia nasze nie uznać ich twardości różnego stopnia, według oporu, który nam stawiają, a dalej ich różnorodnych kształtów przestrzennych.

Ale tu sprawa jest nieco inna. Twardości bez dotykania wyobrazić sobie nie możemy, ale w kształcie jest coś objektywnego, realnego poza naszymi czuciami, mimo, że trudno sobie wyobrazić kształt przez nikogo nie oglądany i nie dotykany. O ile musimy przyjąć, że barwa, a nawet twardość jako takie znikają, kiedy ich nie odczuwamy, kształt przedmiotów nie da się w ten sposób usunąć. Może on nie jest kształtem *takim*, jakim my go w dotyku i wzroku odczuwamy, ale jakieś stosunki przestrzenne (nie innego rodzaju, tylko właśnie przestrzenne), zmieniać się muszą tam, gdzie dla nas występują różnice naszych przestrzennych czuć; podczas gdy w miejscu, w którym widzimy barwę, musimy przyjąć jakąś jej przyczynę, zasadniczo od niej różną, skoro barwa bez naszego jej widzenia jest niewyobrażalna.

To jest zasadnicza różnica między czuciami przestrzennymi, a wszelkimi innymi i te czucia przestrzenne właśnie pozwalają nam skonstruować pojęcia, którymi możemy objaśnić naturę przedmiotów martwych. Narazie jednak przedmioty zewnętrzne dla mnie to tylko związki pewnych moich czuć np. barwnych i dotykowych w związku z pewnymi czuciami kształtu: dotykowymi i wzrokowymi. Bo jak przedmiotu nie widzimy, nie dotykamy — to dla nas on nie istnieje wcale, chyba jako wspomnienie. Czym są przedmioty poza naszymi czuciami, narazie nie wiemy. Ważne jest dojście do tych prostych składników naszych przeżyć, których już w żaden sposób określić nie będziemy mogli, bo istnienie takich prostych elementów, które tylko ukazać, a nie zdefiniować możemy, określi nam zupełnie ściśle nadużywane w znaczeniu jakimś mistycznym pojęcie Tajemnicy, uczyni je pojęciem ścisłym.

Może się komuś wydać dziwne, że przedmiot zewnętrzny, z chwilą gdy go rozpatrujemy subiektywnie jako to pudełko np., które w tej chwili widzimy i którego dotykamy, rozbiliśmy też na nasze czucia. Ale z chwilą gdy trzymamy się tego założenia, że mówimy o tym pudełku ściśle tylko takim, jakim je widzimy, to nic nie znajdziemy w nim więcej, niż szereg plam barwnych, a gdy go dotykamy, szereg naszych czuć dotykowych w naszej ręce, która też rozbita jest na szereg czuć jej powierzchni i szereg czuć jej wewnętrznych: mięśniowych i stawowych. Ale coś jest w tym stałego: *oto stałym jest pewien związek:* czucia te powtarzają się w pewnych granicach regularnie i tę zasadę ich związku powtarzalnego nazywamy kolejno naszym ciałem, pudełkiem, uczuciem, myślą i t. d. Tylko jedna rzecz: pewna część czuć musi być umiejscowiona w pewnym ograniczonym miejscu i czucia te mają swój swoisty charakter: nie mogą one być umiejscowione gdziekolwiek bądź, tylko wewnątrz lub na granicy pewnej zamkniętej rozciągłości, która jest naszym ciałem: raczej one, czucia te je stanowią, po prostu są nim i koniec. Nie mogę mojego bólu brzucha zlokalizować w nodze od stołu — tu władza moja nad moimi czuciami jest skończona. Wprawdzie są stany patologiczne, w których lokalizacja fałszywa z punktu widzenia danych objektywnych jest możliwa, ale wtedy następuje po prostu subiektywne rozszerzenie ciała, jak u tego chorego, którego bolały guziki od kamizelki. Tu w tym punkcie leży właśnie rozdział całości świata na nas i na świat zewnętrzny.

Mimo, że rozbiliśmy i nasze ciało i t. zw. naszego ducha narówni ze światem przedmiotów zewnętrznych na czucia i w ten sposób ujednoliciliśmy nasz pogląd, dostaliśmy zaraz dwa rodzaje czuć zasadniczo różnych, a mianowicie czucia, w których mamy danych nas samych, t. j. czucia naszego ciała, wspomnienia i wyobrażenia, a z drugiej strony czucia, w których dany mamy świat. To co tu opisałem jest istotą psychologistycznego poglądu na świat wraz z jego krytyką, która w tym opisie jest zawarta. Psychologiści chcieli opisać świat tylko w terminach czuć każdego z nas, takiego jakim jest sam dla siebie w swych przeżyciach. Ale musieli przyjąć: po pierwsze związek czuć między sobą i następnie dwa ich rodzaje i w ten sposób, ostatnim szczególniej nieuchronnym założeniem, zniszczyli czystość swego poglądu, który w tej czystości okazał się niemożliwy do utrzymania, mimo że część prawdy w sobie zawiera, mianowicie prawdy jego są ważne, o ile patrzymy na świat tylko i jedynie z naszego osobistego odśrodkowego punktu widzenia. Przez pojęcie związku wprowadzili psychologiści, typu Ernsta Macha, osobowość, której chcieli za wszelką cenę uniknąć, a przez dwa rodzaje czuć, rozdział świata na jedną osobę daną sobie samej od środka i świat zewnętrzny poza nią. Logicznie nie można nic zarzucić temu poglądowi, nawet gdy doprowadzony jest *à outrance*, t. zn. aż do solipsyzmu, czyli stwierdzenia, że wogóle ja sam jestem jeden jak tyka na świecie, a reszta świata i inne osoby to tylko skoordynowane w kompleksy moich przeżyć moje czucia pierwotne. I tu widzimy pierwszy symptom bezsilności logiki, a z nią i logistyki, jako kryterium dla naszych założeń, z których punktu mamy świat ten opisać. Logicznie uprawnione są nie tylko te opisy istnienia, które z jego niezaprzeczalnej dwoistości, a mianowicie: jako „ja“ jedno samo w sobie czyli osobowości i świat dla niej istniejący, wyprowadzić się dadzą, ale również i inne zupełnie z punktu rzeczywistości fantastyczne. My z życiowego poglądu bierzemy tylko wiarę naszą w istnienie realne dookolnego świata, na równi z realnym istnieniem naszych ciał i ciał innych istot i przedmiotów.

Ale tu właśnie jest problem. Czym u diabła są w istocie swej przedmioty martwe, jeśli czucia nasze nie są złudą, napuszczoną na nas przez jakiegoś złego ducha? Jeśli czucia nasze wyznaczają pewne rzeczywistości, jak to nam pogląd życiowy do wierzenia podaje, to czym jest to, co za tymi czuciami naszymi się kryje: czym jest pudełko, stół czy cytryna, kiedy ja wychodzę z pokoju i na nie nie patrzę i ich się nie dotykam? Czym jest pokój cały, jak istnieje to coś z tyłu za moją głową, gdy piszę i na to coś ani ja, ani nikt nie patrzy? Otóż jest odłam filozofów, którzy mówią, że realne są tylko same jaźnie jako ta-

kie — tym nie mogą oni zaprzeczyć rzeczywistości, przezwyciężając również pewną wiarą tylko solipsyzm, którego żadna logika obalić nie zdoła, bo ostatecznie naprawdę na pewno istnieję tylko ja i moje czucia; istnieją, mówią oni, naprawdę tylko jaźnie i przyporządkowane pewnym ich przeżyciom „intencjonalne“, jak się wyrażają, „korelaty tych przeżyć“—do tego sprowadzają oni rzeczywistość. Szlus — więcej nie ma nic. Nawet ciała nie są rzeczywiste tylko są przyporządkowane stale tym, a nie innym jaźniom. Co to jest przyporządkowanie, o to pytać nie wolno — skąd się wzięło także nie. Tak jest i koniec. Dobrze jeszcze, że jest wielość jaźni. I nie można im również logicznie udowodnić, że tak nie jest. Idealizm, bo to jest właśnie idealizm, jest tak samo nieprzezwyciężalny przy pomocy czystej logiki, jak solipsyzm — możemy go tylko, idąc za poglądem życiowym, w którym wierzymy na równi w istnienie nas samych jak i w jakieś (na razie nieokreślone) istnienie innych osób, stworów i rzeczy, odrzucić, ale absolutnie go się pozbyć nie możemy, w tym znaczeniu choćby, że jeśli rzeczy dookolne są nam dane w czuciach, a są przy tym czymś realnym poza tymi czuciami, to muszą istnieć w jakiś inny sposób — to jest już forma idealizmu łagodniejsza i to taka, że zdaje się, iż racjonalny realizm, nie doprowadzony do ostateczności reizmu twierdzącego, że są tylko rzeczy i ich własności, a nie ma właściwie czuć jako takich i osób i osobowości, jako czegoś zupełnie odrębnego, będzie go uznać musiał. Taka jest przeklęta, podwójna struktura istnienia i innej wyobrazić sobie ani rozsądnie pomyśleć nie możemy.

Wróćmy więc do pytania: czym u czorta starego są przedmioty same w sobie, jeśli dla nas są tylko kompleksami czuć w naszych trwaniach? Czemuś przestrzennemu w naszych czuciach: ich bezpośrednio mniej lub więcej wyraźnej rozciągłości, ich układowi i koordynacji, musi odpowiadać coś przestrzennego w istotnych, niezależnych od nas stosunkach przedmiotów. I tu zabiera glos fizyk, który od wieków wgryza się w materię przedmiotów łapami, pazurami, wzrokiem, stworzonymi przez siebie, jako przedłużenia i udoskonalenia zmysłów, instrumentami i metodami rachunkowymi, wyprowadzonymi z zasad wielości czystej: wzorami ogólnymi matematyki, w które wtlacza oporną rzeczywistość, aby módz ją opisać i przewidywać. I co jest dziwne, że, z pewnym przybliżeniem co prawda, ale proceder ten udaje mu się, bo ta sama przestrzeń i ten sam czas, z małymi odchyleniami, zalewa świat materii, który w nich trwa i istnieje w swej rozciągłości, co te jego ramy, w których fizyk musi ten świat myśleć: czegoś pozaprzestrzennego i pozaczasowego wyobrazić sobie niepodobna. Ta sama wielość panuje w świecie rzeczywistym, co i w myślach fizyka. A zasady wielości czystej, które musi człowiek tworzyć tak właśnie, a nie inaczej, są doskonałymi przybliżonymi ramami dla, nie tak dokładnej, jak ona, ale dającej się w nią wtłoczyć, wielości rzeczywistej. Trzeba tylko rozbić różnorodną wielość przedmiotów na elementy wielości jednorodne, aby módz do niej dokładnie zastosować wielość czystą, matematyczną. A gdzie nie można mierzyć wielości wprost, tam, na tle nieskończonych ilości elementów, które się przyjmuje jako cząstki materii codziennego dnia, atomów czy elektronów, puszcza się w ruch statystykę i też wszystko się w przybliżeniu przewiduje i co ważniejsza wszystko się w przybliżeniu potem sprawdza. Fizyka więc rzuca się z początku na materię nieomal z gołymi łapami, potem dopiero łapy te powoli się uzbrajają, podczas gdy rachunek oparty o ogólne wzory zaczyna kierować ich ruchami; czyni tak fizyk w przeciwieństwie do filozofa, którego łupem nie jest sama materia świata, żywa czy martwa, zindywidualizowana czy indywidualnie — pozornie zdaje się bezforemna; przedmiotem badania filozofa są już pewne pojęciowe struktury, których powstanie powoduje w sposób konieczny istnienie takiego stanu rzeczy, jaki w Bycie rzeczywistym napotykamy.

I nie tylko przedmiotem filozofa jest badanie samych tych struktur: ważniejsze jest zbadanie ich stosunków koniecznych, w których wyrażać się będzie ustosunkowanie momentów składowych samego Istnienia realnego. Struktur takich jest ograniczona ilość. Do jednej z nich, psychologizmu, doszliśmy tylko co, opierając się na niezaprzeczalnym fakcie istnienia indywiduum, mającego przeżycia. Indywiduum to musieliśmy przyjąć za przestrzenno-czasowe: t. zn. istniejące samo dla siebie jako trwanie, w którym przeżycia są rozłożone w następstwa; przy tym musieliśmy założyć indywiduum jako również samą dla siebie istniejącą rozciągłość, czyli ciało, którą jednak możemy wyrazić w terminach tego trwania. Co oznacza ten termin właśnie wyrażania czegoś w terminach czegoś drugiego: oto to, że np. przyjąwszy trwanie wypełnione przeżyciami, rozkładalnymi w ostatniej instancji na czucia czyli jakości, możemy określić ciało jako pewien względnie stały kompleks czuć przestrzennych w tym trwaniu. Wszystkie czucia są trochę przestrzenne, mają pewną rozciągłościową objętość, nawet dźwięki, zapachy i smaki — ale niektóre mają zdolność zapełniania rzeczywistej przestrzeni: w postaci tych ostatnich czuć: czuć wewnętrznych, dotyków, barw i ich kształtów dane jest nam nasze ciało, którym my właśnie w bezpośrednim przeżywaniu jesteśmy. Cały t. zw. „duch“ to hyperstruktura z czuć, wspomnień i wyobrażeń, mających swe źródło w ciele, a poprzez to ciało, przez jego związek z otoczeniem, w świecie zewnętrznym także. Ta druga dwoistość istnienia, którą określiliśmy jako czasowo-przestrzenną, jest tak samo ważna, jak poprzednia, wyrażająca się w zdaniu: — „ja“ i świat — i tak samo konieczna do przyjęcia. Tak samo nie możemy sobie pomyśleć istnienia nie objętego pojęciami trwania i rozciągłości, jak i zupełnie jednolitego w swej jedności, w której nie wyróżniałyby się same dla siebie istniejące indywidua, takie np. jak my. Pojęcie: „Same dla siebie“ nie ma wyrażać ich absolutnej niezależności od niczego, tylko niezależność ich istnienia od tego, czy czymś są dla drugich, czy nie. Jeśli wyjdę z pokoju, to wiem, że przedmioty, które tam zostawiłem, jakoś istnieć realnie muszą, skoro istniały tak przed chwilą dla mnie, ale wiem, że nie mogą być barwne, twarde, pachnące czy dźwięczące same dla siebie, bo to są tylko moje czucia. Jeśli zaś wszyscy wyjdą z pokoju, a ja zostanę, to jestem absolutnie taki sam, sam dla siebie i trwam sobie dalej, czy kto na mnie patrzy i mnie dotyka: jestem sam w sobie, od nikogo niezależny, ale nie *od niczego:* w swej swobodzie jestem ograniczony, a im dalej oddalam się w istnieniu wyższych od stworzeń żywych ku niższym, tym swoboda ta staje się coraz mniejsza i mniejsza, aby utknąć w zupełnej w danym wymiarze wielkości przestrzeni w konieczności przyczynowej lub statystycznej fizykalnego poglądu na świat. Jednak przejście ciągłe między swobodą a koniecznością jest niewyobrażalne.

O ten fizykalny pogląd nam teraz chodzi. Wynika on z dwóch przyczyn, mających swe źródło w samej najistotniejszej strukturze istnienia: z jego przestrzenności i z tego, że stwory żywe mają ciała. O ile moje trwanie jest absolutnie tylko moim i jest absolutnie przez drugie trwanie nieprzenikalne, czyli że każdy osobnik jest wśród istnienia absolutnie samotny, o tyle ciała nasze, czyli — ciągle trzeba to pamiętać: pewne kompleksy czuć przestrzennych w moim trwaniu — prócz tego, że w wewnętrznym i zewnętrznym dotyku, a nawet częściowo w barwach swych, jest tylko moim ciałem, w pewnych czuciach, z wyjątkiem czuć, które oznaczyliśmy jako wewnętrzne, może być dane dla drugiego osobnika. W tym znaczeniu mówimy, że jakości wyznaczają w pewien sposób żywe stwory — jeden dla drugiego, a także przedmioty zewnętrzne. Tam gdzie dla mnie jest tylko związek czuć barwnych taki sam prawie, jak związki, które nazwałem stołem lub pudełkiem, tam istnieje faktycznie drugi stwór żywy sam dla siebie, przeżywający siebie od środka, jako absolutnie nieprzenikalne trwanie samo w sobie. Ale co jest naprawdę tam, gdzie ja widzę związek jakości, będący dla mnie przedmiotem zewnętrznym martwym?

Otóż tu leży źródło najjadowitszego problemu filozoficznego, problemu stosunku t. zw. popularnie mówiąc „ducha do materii“, który to problem, w popularnym ujęciu już, trzeba by zróżniczkować, mówiąc o stosunku ducha do materii żywej i, a raczej lub, martwej, czyli, mówiąc według tego, cośmy znaleźli poprzednio: stosunku koniecznego z jednej strony poglądu psychologistycznego do koniecznego również w pewnym sensie poglądu fizykalnego, który jest nie do odrzucenia, ani nie do zlekceważenia, jako czysta konwencja, jakby to chcieli widzieć na tle swego, niewiadomo skąd w ich systemie figurującego, pojęcia przyporządkowania, idealiści, które to pojęcie jest tak samo tajemnicze, jak „harmonia przedustanowiona“ Leibniza, pojęcie, którym ten jeden z największych myślicieli popsuł, zarówno jak i założeniem braku wzajemnego działania monad, swój wspaniały system monadystyczny, który ogólnie mówiąc i przyjmując różne stopnie jego doskonałości, będzie jedynym zdaje się możliwym systemem, w którym jednolicie i bez fantastycznej metafizyki, ujęta będzie być mogła konieczna istota istnienia.

Otóż fizyk, zapytany przez nas, co się znajduje w tym miejscu, gdzie my widzimy np. przesuwające się w pewien regularny sposób plamy barwne, które nazwaliśmy pudełkiem, mówi nam, że tam poruszają się z wielkimi szybkościami małe ciałka, czy ładunki energii, jakieś cząsteczki, inaczej mówiąc drobne rozciągłości, które, do pewnej przynajmniej granicy, zbudowane są na wzór i podobieństwo naszych przedmiotów martwych, z tą różnicą, że w pierwszej transzy są w mniejszej ilości gatunków, a dalej, przy dalszym podziale materii, stają się jednorodne, a różnice wszelkie tej materii, które my jako jakościowe i niesprowadzalne uważamy, wyrażane być mogą w różnych ilościowych stosunkach i stosunkach położenia wzajemnego i ruchu tych jednorodnych cząsteczek. Fizyk rozbija materię naprzód młotem czy też rozkrawa nożem: jest ona ta sama w każdej swej cząstce: skała jednolita pozostaje skałą, drzewo drzewem, żelazo żelazem — puszcza na tę materię dalej inne materie rozkładające i podwyższa temperaturę: dostaje różniące się jeszcze bardzo między sobą drobiny chemicznych połączeń— te oddaje dalszym transformacjom pod wpływem różnych promieniowań i ostatecznie dochodzi do koncepcji takich fizycznych cząsteczek, czyli rozciągłości w ruchu, że wprawdzie przy założeniu ich sprawdzają się różne przewidywania, ale one same są już w naszych normalnych wymiarach niewyobrażalne: można o nich myśleć jedynie w terminach matematycznych oderwanych, którym nie odpowiada nic konkretnego w granicach naszej zdolności przedstawiania sobie przestrzennych istności.

Nie dość na tym: cząsteczki owe nie są określane co do swych szybkości i położenia, lub czasu i energii indywidualnie, jak n. p. byłyby określane teoretycznie choćby cząsteczki gazowe w t. zw. teorii kinetycznej gazów. Możemy o nich myśleć jedynie *en masse*, na zasadzie wielkich ilości, do których dokładnie stosują się wtedy wzory na ich określenie: przestrzenne, czasowe, szybkościowe i energetyczne. Doszliśmy do kresu fizyki, gdzie święta dotąd zasada absolutnego zdeterminowania cząstek i mas materii martwej, mówiąca, że w razie znajomości stanu poprzedzającego stan dany, stan ten jest dokładnie wyznaczalny, praktycznie zawodzi, bo ten stan początkowy nie jest właśnie dokładnie wyznaczalny. Pocieszmy się tym, że prawa fizyki, z wyjątkiem obecnego ujęcia prawa ciążenia w ogólnej teorii względności Einsteina, były zawsze statystyczne w wymiarach dość dużych, zbliżonych do naszych t. zw. makro. Ale świat zwany mikro był w nich teoretycznie przynajmniej wyznaczalny — tu zaś wyznaczalnym on nie jest. Innego obrazu dowolności jak względnej dowolności ruchów i względnej swobody stanów czuciowych (fantazji) stworów żywych nie mamy. Zawodzą więc tu wszystkie obrazy i musimy poprzestać na idealistycznej koncepcji fizyki: materia zachowuje się tak w wymiarach makro, *jakby* w wymiarach mikro była niezdeterminowana co do swych elementów ostatnich. Ale czy są to elementy ostatnie? Teoretycznie nie możemy się zatrzymać w podziale materii aż w nieskończoności. Czemu elektrony właśnie miałyby być ostatnimi? A jednak samo postawienie kwestii indeterminizmu dowodzi, że w naszym wymiarze wielkości osiągnęliśmy kres wyznaczony małością rzeczywistych czy przypuszczalnych, to wszystko jedno, elementów materii martwej i komplikacją, jako też wyobrażalnością przestrzenną, rusztowania matematycznego.

Jaka fizyka jest to jest, od jednej rzeczy się nie uwolni: operuje ona pojęciem *martwej* rozciągłości w ruchu, na których wielość rozbiła martwą materię poglądu życiowego. W każdym razie coś jest tam pewnego, coś co odpowiada w pewnym sensie jej koncepcji, bo wzory jej sprawdzają się, a technika rozwija się z diabelską wprost energią, zaduszając powoli ludzkość, która rozpętała bestię materialnego postępu i nie może teraz dać sobie z nią rady w kapitalistycznym ustroju społeczeństwa. Ale nie o to chodzi. Element, którym operuje fizyka, nawet w ostatniej swej, prawie niewyobrażalnej komplikacji i idealistycznym charakterze, jest pochodnym w prostej linii od przedmiotu martwego, a przedmiot ten jest wyrażalny w terminach poglądu psychologistycznego, jako prawidłowe, względnie stałe, następstwo czuć w moim trwaniu: obracam w ręku pudełko, co jest następstwem czuć mięśniowych; widzę zmieniające się w polu widzenia kolorowe mniejsze pólka, w związku z następstwem poprzednim: sumę tych zmian możliwych, których oczekuję na podstawie jednego rodzaju z nich n. p. na podstawie czuć wzrokowych, nazywam właśnie przedmiotem.

Otóż przedmioty fizykalne: atomy, jeszcze całkiem realne tak jak nasze przedmioty lub systemy gwiezdne i t. d., są wyobrażalne tylko jako pewne możliwe następstwa czuć, czyli jakości. Pojęcie przedmiotu, którego w ten sposób przedstawić sobie nie możemy, traci sens wszelki; jeśli coś ma być dla nas realne, musimy to coś wyobrazić sobie jako możliwe choćby przy warunkach przez nas niewykonalnych następstwo czuć w naszym trwaniu; inaczej pojęcie to ma sens jedynie fikcyjny, jako, niewyobrażalne co do swych fizycznych odpowiedników, wyrażenia matematyczne. Ale rzecz realna nie może się składać z elementów urojonych. Problem ciężki dla fizyki idealistycznej. Chyba że wogóle staniemy się idealistami w znaczeniu poprzednim i odrealnimy cały świat przedmiotów i ciał, a uznamy za realne jedynie nasze jaźnie, jako istności punktalne, wypełnione, nie wiadomo jak, przyporządkowanymi sobie przeżyciami; albo też zostaniemy solipsystami i uznamy, że wogóle nie ma innych jaźni prócz naszej. Solipsyzm jest to szczyt idealizmu. Rozwiązanie łatwe, ale z punktu widzenia poglądu życiowego, t. zn. t. zw. „zdrowego rozsądku“, zbyt deformujące codzienną rzeczywistość, mimo swej logicznej niezaprzeczalności. Ale znowu to, że przedmioty, tak realne, jak i fizykalne, a dalej wszystkie nasze doświadczenia i dane odczytywane na instrumentach i sformułowane pojęciowo teorie, wszystko to, nawet te ostatnie, o ile się aktualizują w jakiejś świadomości, musimy uznać za wyrażalne w terminach poglądu psychologistycznego, odwartościowuje zupełnie fizykę jako opis świata ostateczny, przed którym ukorzyć się ma wszelka filozofia. Bo z drugiej jeszcze strony stwierdzić trzeba, że o ile pogląd fizykalny w terminach psychologistycznych t. zn. czuć i ich związków, nawet w jedynej świadomości solipsystycznej wyrazić się daje, to odwrotność tego procederu, co stwierdzić trzeba wbrew t. zw. szkole wiedeńskiej, jest niemożliwa: czucie nie jest sprowadzalne do drgania cząsteczek jako takiego: między widzeniem faktycznym czerwonego koloru, a drganiem czegoś tam, wszystko jedno czego, tyle i tyle bilionów razy na sekundę, jest przepaść nie do zapełnienia: żeby mi kto nie wiem jak udowodnił, że tam, w danym rzędzie wielkości oczywiście, nic prócz jakichś drgających cząsteczek niema, będę widzieć zawsze czerwony kolor i koniec. Czucia więc są czymś absolutnie niesprowadzalnym, co możemy tylko względnie jednoznacznie przyporządkować temu, co nam fizyka do wierzenia podaje.

Wspólna między subiektywnym światem czuć a absolutnie obiektywnym, w wyobrażeniu fizyka, światem ruszających się jakichś rozciągłości jest tylko przestrzenność: ta właściwość, która ostatnia ustąpiła z opornego przedmiotu, jako obiektywna, kiedyśmy go po kolei rozbijali na coraz dalsze kompleksy czuć czyli jakości. Przestrzenność ta jest pomostem między tymi dwoma światami, bo mimo całego idealizmu i nierealności dzisiejszej fizyki, jej świat musi być w istocie, potencjalnie choćby, przestrzennym: bez tego fizyka nie miałaby związku z rzeczywistością poglądu życiowego: wzory fizyki muszą podlegać rozciągłościowej interpretacji. Tak więc dochodzimy do dwóch poglądów, z których jeden fizykalny, wyra-

WIECZNOŚĆ ŚWIECĄCA

Jesień po rdzawych oddalach na skłon listopada dymi —
Zachodnia wezbrana kurzawa w czerwieniejącą treść.
I chmury płoną wysokie, otwarte skrzydłami w zimny
Biegunem w podniebie wytknięty późnej jesieni kres.

Jesień się snuje od ognisk, z rżysk wyparzonych i zgasłych,
Milknąca okaryn tonem, wieczór otwiera na dziś, —
Takim zachodem jesieni i horyzontem za miastem
Odwiecznie wiodły się lasy w gałęziach pod giętki gwizd.

Potem jak jasne mniszki i rzędem jak śpiewni alumni
Świecą topole i buki — mity, co milczą śród gwiazd,
Po dalekościach od ściernisk wiatr wstaje i w piaskach szumi,
Wiatr, który driadom mistycznie w oczy napływa jak blask.

Tak niezmierzonym obszarem w cieniu stygnącej jesieni
Przechodzi przez późne niebo śród gwiezdnych topól i mgły
Po horyzontach znaczona rdzawą zachodnią czerwienią
Wieczność, co myśli przerasta i światłem podnosi w hymn.

BOGDAN GRZYMAŁA-KAMODZIŃSKI

żalny jest wprawdzie do pewnego stopnia w terminach drugiego, psychologistycznego, czyli że ten ostatni jest hierachicznie pierwszy, co odpowiada pewnemu pierwszeństwu naszej osobowej egzystencji w stosunku do całej reszty świata, minus ta nasza osobowość, ale mimo to oba poglądy nie są konieczne, bo, mimo całej powyższej sprowadzalności, czysty psychologizm jest do przyjęcia niemożliwy: jest to albo, w razie radykalnego postawienia kwestii, solipsyzm, albo w najlepszym razie, w formie połowicznej, idealizm, w którym za cenę werbalnego uspokojenia się przy pomocy pojęć, zastępujących nam rzeczywistość świata, musimy się tej rzeczywistości wyrzec, co jest zbyt rażące w stosunku do realistycznego na nią poglądu w poglądzie życiowym.

W idealizmie problemów nie ma, ale dlatego właśnie jest to doktryna według mnie tania, którą zadowolnić się, ze względu na jej fantastyczno-widmowy pogląd na rzeczywistość, nie możemy. Musimy szukać rozwiązania realistycznego, któreby zgodne było z nastawieniem codziennego dnia, w którym wierzymy w realność nie tylko podobną do naszej, innych osób i stworzeń żywych, ale i w realność jakąś bliżej na razie nieokreśloną przedmiotów martwych: od stołów i krzeseł począwszy, aż do gwiazd i najdalszych mgławic.Czymś one muszą być, skoro je widzimy, a fizyka nam je tak opisuje, że możemy liczyć na sprawdzenie się jej przepowiedni tych rzeczy dotyczących, poza sprawdzaniem się przewidywań poglądu życiowego i poza stałymi związkami naszych przeżyć między sobą, które nie stanowią chaosu, lecz masę uporządkowaną, w pewien sposób skoordynowaną. Ale fizyka też nie objaśnia nam w swoim zakresie istoty rzeczy, tylko zatrzymuje się na pewnego rzędu wielkości swoich cząsteczkach, które są tak samo, mimo swej jednorodności, tajemnicze, jak i przedmioty świata zewnętrznego. Przepaść między czuciem a przedmiotem fizykalnym jest nie do zasypania, a przed nami rozciąga się nieskończoność tak w małości, jak w wielkości, z której fizyka sprawy nam zdać nie jest w stanie. Wogóle w koncepcji przedmiotu martwego samego dla siebie istniejącego tkwi pewna sprzeczność, bo przedmioty, od których pochodne są koncepcje fizyki, mają jedynie jako takie byt fenomenalny dla nas.

Ale nie dość na tym, że fizyka sama w swym zakresie, w swej zmienności i sztuczności koncepcji i bezsilności co do problemu nieskończonego podziału materii i nieskończonej wielkości wszechświata, nie może nam dostarczyć adekwatnego, t. j. zgodnego we wszystkim z rzeczywistością, opisu świata — ona mimo to wszystko idzie dalej i chce w terminach swoich malutkich, jednorodnych, martwych przedmiocików, swoich rozciągłości bezjakościowych w ruchu w wielkich ilościach atomów czy paczek fal — to obojętne, wyrazić także istotę zindywidualizowanej materii żywej, tej z której składają się nasze i innych stworzeń ciała. I do pewnego stopnia opis materii żywej w terminach materii martwej udaje się: funkcjonowanie pewnych organów, a nawet całych organizmów z pewnym przybliżeniem daje się opisać chemicznie i fizycznie; ale gdy przychodzimy do problemu powstania czującej, zindywidualizowanej — a innej wyobrazić sobie nie możemy —materii żywej, obdarzonej choćby najbardziej rudymentarną osobowością, jak obserwujemy proces rozmnażania się, powstawania podobnych między sobą zawiłych postaci stworzeń z prostych zarodków i proces regeneracji uszkodzeń i powstawania całych indywiduów z pociętej na kawałki plazmy, z której normalnie powstaje indywiduum jedno, to, omijając już problem powstania czuć i osobowości z elementów fizykalnych, z założenia bezczuciowych i bezosobowych, widzimy zupełną bezsilność poglądu fizykalnego w tym względzie, mimo całej jego potęgi i wspaniałości w opisie świata przyrody martwej. Zasadniczy problem filozoficzny jest postawiony.

Nie myślę tu podawać nawet w przybliżeniu mojego rozwiązania, które leży na linii realizmu monadystycznego, czyli materializmu biologicznego. Przejdę tylko pokrótce te rozwiązania, które wynikają po części z dwoistej struktury istnienia opisanej wyżej i polegają na silniejszym lub słabszym akcentowaniu jednego z dwóch zasadniczych elementów istnienia: osobowości i świata poza nią: trwaniowości istnienia i jego rozciągłości przestrzennej. Widzieliśmy już dwa rozwiązania krańcowe: jedno: *solipsyzm*, jako graniczny wypadek krańcowego idealizmu, wychodzący z samego trwania, bez uwzględnienia tego faktu, że jakości wyznaczają coś rzeczywistego w przestrzeni, nawet w wypadku halucynacji; w tym ostatnim razie odpowiada im bądź co bądź coś, co się dzieje w mózgach danych stworzeń. Dalej idzie *idealizm*, nie negujący istnienia innych jaźni, ale wątpiący o realności światów międzyjaźniowych. Jaźnie w wypadku tym są „punktalne", pozbawione przestrzenności, która jest uważana tylko za złudę, pustą formę pewnych treści, przesuwających się w trwaniach tych jaźni. Porządek świata jest tylko i jedynie wynikiem. ubocznym produktem pewnego porządku, który musi być założony z punktu widzenia istnienia samej „czystej", jak mówią idealiści, świadomości. Odproblemienie świata następuje tu tylko za cenę pozbawienia go realności, co sprzeciwia się naszej bezpośredniej intuicji poglądu życiowego.

Zamiast deformować świat, aby go odproblemić, lepiej przyjąć według mnie pogląd życiowy, z jego niezałatwionym, nieobjaśnionym dualizmem ducha i ciała, materii martwej i żywej, bez pretensji sprowadzenia jednej do drugiej. Wogóle nie mówić nic, jak radzą niektórzy logistycy, chcący zabalsamować żywe jeszcze ciało konającej nieomal dziś filozofii. Jednak ostateczny system, w którym nastąpi śmierć samobójcza tej dziedziny myśli ludzkiej, jeszcze gotów nie jest i nad jego przygotowaniem warto by jeszcze popracować, tym bardziej, że są symptomy, że właśnie ku temu końcowi się zbliżamy. Poznaliśmy prócz *psychologizmu*, nie uwzględniającego właściwie wielości jaźni jako czegoś istotnego, i którego najdoskonalszym wyrazem jest system Corneliusa, jego radykalne przeciwieństwo, czysty *mechanizm fizykalny*, wyrażalny jednak w jego terminach. Tu traktuje się znowu treść psychiczną jako coś nieistotnego i godnego pogardy. Jednak coraz więcej jest idealistycznie nastrojonych fizyków, którzy, na tle sprowadzalności poglądu fizykalnego do systemu praw rządzących w ostatniej instancji naszymi przeżyciami, skłaniają się ku psychologizmowi, odrzucając materializm pochodny od ordynarnych i naiwnych materialistycznych koncepcji wieku XIX.

Dalej idą różne formy *realizmu*, z mniejszą lub większą dozą koniecznego idealizmu, w tym tylko znaczeniu, że rzeczy zewnętrzne nie są tym, czym nam się przedstawiają, tylko czymś radykalnie innym: do pewnego tylko stopnia twierdzi to nawet fizyka, wobec pochodności jej „cząsteczek" od przedmiotów martwych poglądu życiowego. Realizm więc uznaje, że jakości, czyli czucia nasze, wyznaczają coś realnego w przestrzeni. Gdy patrzę na innego człowieka, czy też go dotykam, mam w moim trwaniu tylko pewne czucia. Ale tam gdzie one są umiejscowione w przestrzeni, jest faktycznie inny człowiek, sam dla siebie istniejący w postaci jego własnych czuć wewnętrznych i zewnętrznych, dla którego ja naodwrót jestem tylko kompleksem jakości w jego trwaniu. To jest istotą wyznaczania rzeczywistości przez czucia, które jako takie nie zawiera w sobie nic tajemniczego. Tu przychodzimy do problemu stosunku materii martwej do żywej i do kwestii przyznania pierwszeństwa pierwszej lub drugiej, bo realizm nie może się wykpić tanim powiedzeniem, że „przedmioty to tylko intencjonalne korelaty naszych przeżyć".

Mamy tu najpierw licząc od końca czysty *realistyczny mechanizm*, czyli *materializm*, o którego niesamowystarczalności była mowa poprzednio. Potem idzie *witalizm*, żądający autonomii dla życia, ale przyjmujący całą fizykę jako swoistą realność *en bloc*, bez zamiaru sprowadzenia jej pojęć do innych terminów, jak to było w psychologizmie. Dlatego musi dołączyć do pojęcia materii żywej pojęcia takie, jak entelechia Driescha n. p., w których się kryje pojęcie „duszy" poglądu życiowego, lub kompromisowo założyć istnienie jakichś bliżej nieokreślonych „sił życiowych", które znowu nie zdają sprawy z istnienia osobowości, przyczepionych nie wiado. mo jak do materialnych organizmów żywych, które częściowo są fizyko-chemicznie wytłumaczalne. Potem mamy t. zw. *reizm*, czyli pogląd uznający tylko istnienie rzeczy o pewnych własnościach i nie uznający samoistności jakości, czyli czuć czystych n. p. czerwoności, dźwięku A, nawet jako koniecznie danych w kompleksach obszerniejszych, czucia te zawierających. Dla poglądu tego, osoby to też tylko rzeczy o pewnych specyficznych własnościach. W tej formie pogląd ten, mimo pozorów, zdaje się nie różnić od czystego psychologizmu; różnice są tylko terminologiczne: zamiast związek — mówimy: rzecz, zamiast czucie — rzeczy tej jakaś własność. Wykluczenie osobowości jako takiej jest tym poglądom, przy tej postaci (pozornie?) materialistycznej reizmu, wspólne.

Osobne miejsce zajmuje *monadyzm*, pogląd dość stosunkowo rzadki, którego właściwym twórcą był Leibniz, a który wywodzi się poprzez Giordana Bruna chyba aż od hylozoistów greckich, t. j. szkoły nie uznającej istnienia materii martwej. Jednak monadyzm Leibniza w pierwotnej formie swej jest nie do przyjęcia, jako niezgodny ani z poglądem życiowym, ani z poglądami koniecznymi, przez istnienie implikowanymi. Możliwe jest jednak według mnie pogodzenie monadyzmu z wymienionymi poglądami koniecznymi: psychologizmem i fizykalizmem, przy pewnej modyfikacji jego istoty, a także przy odpowiednim zmodyfikowaniu tychże samych poglądów, bez odbierania im tego, co jest w nich absolutnie konieczne do przyjęcia. Chodzi o to, że kompromisowe przyjęcie i fizykalizmu w absolutnej formie i zindywidualizowanej „materii żywej" z jej czuciami, nie prowadzi do jednolitego ujęcia świata. Wszelkie zaś próby zupełnej unifikacji istnienia, na tle jego istotnej, niczym nie dającej się zniszczyć, dwoistości, dają koncepcje fantastyczne, którymi zadowolnić się nie możemy. Albo materia żywa musi być wyrażona w terminach materii martwej, albo naodwrót, martwa w terminach żywej, czyli musi być do tej ostatniej sprowadzalna. Z chwilą kiedy pierwszy wypadek uznaliśmy za niemożliwy, musimy szukać rozwiązania w drugim i tego właśnie podejmuje się, zmodyfikowany i uzgodniony z psychologizmem i fizykalizmem, monadyzm, przy założeniu fundamentalnym, że istnienie składa się tylko z czasowo-przestrzennych Istnień Poszczególnych, czyli stworów żywych cielesnych, obdarzonych czuciami czyli świadomością choćby najbardziej rudymentarną. Przy pomocy tego, *pozornie tylko fantastycznego założenia*, które na tle definitywnego zdemaskowania się fizyki jako nauki, operującej w stosunku do rzeczywistości statystycznym przybliżeniem, możemy zupełnie dobrze przyjąć, że podległa w naszym wymiarze absolutnej przyczynowości, a w wymiarach mikro podległa przyczynowości statystycznej, materia martwa, składa się z bardzo wielkiej ilości badzo drobnych Istnień Poszczególnych.

Nie trzeba mieszać koncepcji tej z pierwotnym animizmem, w którym przedmioty martwe jako takie mają być w istocie ożywione, w pewien sposób „uduchowione" t. zn. osobowe. Tu chodzi tylko o ich elementy składowe, przy czym, we właściwych wymiarach, skupienia ich dają dla pewnego rzędu wielkości stworów żywych, n. p. dla nas, materię martwą, jako pewien rodzaj koniecznej złudy. Istotnym w animizmie jest wyraz tego, że właściwie jako byt sam w sobie, niezależny od obserwatora, możemy pojąć tylko byt osobowy. W zdaniu tym, mówiąc o obserwatorze, popełniamy złośliwe kółko, bo negatywnie definiując tak byt sam w sobie, mówimy o nim już pod jego postacią. Jest to pojęcie proste niezdefiniowalne. W koncepcji monadystycznej znajdują możliwe rozwiązanie różne jadowite problemy częściowe, jak n. p. pochodzenie i powstanie żywych stworów takich jak n. p. my i inne stworzenia na rozżarzonej uprzednio gałce materii martwej, jak ziemia. Twierdzenie bowiem o niemożliwości istnienia n. p. żywych stworów w innych niż nasza, odpowiednia dla naszego istnienia, temperaturach, byłoby równoznaczne z zadawaniem n. p. pytania, jaką temperaturę, w naszym wymiarze istnienia, mają cząsteczki materii martwej, których ruch jest właśnie dla nas wrażeniem ciepła. Poza tym kwestia powstania stworów wyższych jako organizujących się z niższych, jest w poglądzie tym rozwiązana na tle tego, że za pojęcie pierwotne, za ostateczny element istnienia zostaje przyjęte Istnienie Poszczególne żywe, mające byt sam sobie, a nie martwy t. zw. „klocek rzeczywistości", fizykalna „cząsteczka", z których kombinacji niewiadomo jak ma powstać stwór, posiadający świadomość.

Wobec tego, że fizyka zatrzymuje się też na pewnym stopniu i nie wyjaśnia nam nieskończoności ani w wielkości, ani w małości, i że element jej ostateczny też jest w istocie tajemniczy, wszystko jedno jest, czy przyjmiemy jej element za ostateczny, czy też stwór żywy obdarzony czuciami, który znamy bezpośrednio z własnej naszej egzystencji. Kwestia Nieskończoności pozostaje tajemnicą w każdym systemie, nawet idealistycznym. Ograniczone przestrzennie, czasowo, czuciowo, a nawet na tle wspomnianej ograniczoności, ilości definicji i istnienia pojęć pierwotnych niezdefiniowalnych, ograniczone logicznie i pojęciowo, Istnienie Poszczególne, nie może pojąć w żaden sposób Aktualnej Nieskończoności i z tego problemu nawet pogląd fizykalny, w swoim własnym fizykalnym zakresie, sprawy zdać nie może, zatrzymując się na elementach pewnej wielkości, przy czym całość świata pozostaje w istocie swej niepojęta jako związek.

Nie chcę wdawać się tu w szczegóły różnych filozoficznych koncepcji i ich krytykę. Zaznaczyłem tylko samą problematykę i szkicowo podałem pewne aktualne rozwiązania problemu psychofizycznego, czyli t. zwanego popularnie zagadnienia „stosunku ducha do ciała". Drugim zasadniczym problemem filozofii jest zagadnienie logiczno-psychologiczne, a mianowicie pytanie, na podstawie czego istnieją prawdy t. zw. „pozaczasowe" absolutne, choćby prawdy logiki formalnej, i w jaki sposób istnieją, jeśli wszystko, co jest psychicznego, odbywa się w jakichś przypadkowych, z punktu widzenia tych prawd, świadomościach poszczególnych osobników rzeczywistych, objętych zasadą mijającego trwania i w tym trwaniu ograniczonych. Jest to problem t. zw. „pojęciowego realizmu" i nominalizmu, z których to kierunków pierwszy przyjmuje jakiś bliżej nieokreślony byt t. zw. idealnych przedmiotów czyli pojęć i specjalną świadomość „aktów intencjonalnych" dla ich przyjmowania i pojmowania przedmiotów wogóle, a drugi uważa, że pojęcia są to tylko znaki o pewnych znaczeniach, nadanych im przez kojarzenie się wyobrażeń i nic więcej.

Nie mogę wchodzić w szczegóły tego sporu, odkładając jego przedstawienie ew. do następnych enuncjacji. Chodzi mi o to, że wymienione poprzednio kierunki myśli, odnoszące się do istnienia, a nie do kwestii pojęć, wychodzą bądź co bądź z realnych jego elementów, które możemy znaleźć faktycznie w poglądzie życiowym: z istnienia nas samych i innych ludzi i stworzeń i istnienia bezsprzecznego świata „materii martwej", jako też biorą pod uwagę wszystkie obecne i możliwe nawet — t. j. najważniejsze — najbardziej daleko teoretycznie posunięte wyniki nauk: fizyki, biologii i psychologii. Wszelkie inne koncepcje, jako rozwinięcia wykraczające poza granice tych systemów i nauk ścisłych, operują t. zw. hypostazami, t. j. uprzedmiotowaniami i uosobieniami pojęć poglądu życiowego, niedostatecznie zanalizowanych i nieprześwietlonych. Np. nie zanalizowawszy dobrze znaczenia pojęcia życiowego poglądu rozumu: wprowadzamy jakiś metafizyczny wszechrozum, którym następnie staramy się objaśnić wszystko i tenże sam rozum życiowy, od którego tamto pojęcie było tylko pochodnym. Koncepcje takie należą raczej do religii niż do filozofii, lub do t. zw. fantastyki filozoficznej i nie mogą mieć pretensji do traktowania ich jako nauki. Filozofia ma tylko uzgodnić te poglądy, które są koniecznie implikowane przez sam fakt istnienia — od tego na ile zrobi to, nie przyjmując pojęć zbytecznych i fantastycznych, możliwie po prostu, z możliwym wchłonięciem poszczególnych poglądów w jeden, jednolity system pojęć, zależeć będzie jej doskonałość. Zbliża się ona do tego celu poprzez różne swoje etapy drogą t. zw. przez eliminację. Ale tylko ci, którzy z niewystarczającym nawet w danej epoce wyekwipowaniem pojęciowym rzucali się na całość problemu, posunęli choćby o krok mały rozwiązanie całości zagadnienia, dając następnie materiał do pracy rozbabrywaczom i przyczynkarzom, których rola jest tym niemniej bardzo istotna.

Wbrew przekonaniu niektórych dzisiejszych pseudonaukowców, filozofowie przyczynili się nie mało do rozwoju nauk ścisłych, których niesamowystarczalność w kierunku opisu całości świata przyjmują dziś pierwsze powagi w sferze nauki, właśnie na tle jej osiągnięcia ostatecznego prawie stopnia rozwoju na naszej planecie i bezsilności jej w tym stanie wobec problemów całościowych, która dopiero na tym właśnie stopniu wyrafinowania metod badania wyszła na jaw w całej pełni.

POWIEŚĆ

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI: *Twinko*. Powieść. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój".

Powieść Świętochowskiego, nowy dowód zdumiewającej energii sędziwego pisarza, jest tworem tak niezwykłym, że—nie chcąc zbyć jej paru łatwymi ogólnikami polemicznymi— musi się jej poświęcić uwagi znacznie więcej, niżby tego wymagały jej walory czysto artystyczne.

Określenie walorów tych z punktu widzenia dzisiejszego konwenansu powieściowego jest co najmniej trudne. *Twinko*, choć czyta się go gładko, nie jest romansem przygód, mimo że akcja powieści rozgrywa się w świecie katorgi i zesłania; nie jest romansem historycznym, choć prawi o epoce Mikołaja I; nie jest wreszcie powieścią psychologiczną, jakkolwiek naczelne jego zagadnienie prosiło się wprost o takie właśnie ujęcie. Dlaczego? — odpowiedzieć nie trudno. Dzieje Jana Twinki, który — dla zmazania win ojca, służalca rosyjskiego — dobrowolnie oddaje się w łapy żandarmskie, idzie do więzienia, katorgi i na osiedlenie, domagały się analizy psychologicznej, która by wytłumaczyła pobudki postępowania człowieka, narażającego się na cierpienia nadludzkie dla ideału, analizy — obojętne — w typie *Anhellego* czy *Zmartwychwstania* czy choćby *Księcia Holuby czyli Don Kiszota XIX wieku*, zapomnianego dzisiaj romansidła Kontrymowicza-Ogińskiego. Tymczasem analizy tej w powieści nie znajdziemy, autor bowiem opis przebiegów psychicznych zastąpił zwyczajnym rezonowaniem Twinki, skorego do dyskusji z otoczeniem i do rzucania na papier bardzo ogólnikowych refleksyj na tematy dostarczane przez życie. Dyskusje te i refleksje głębią nie grzeszą, jako że uparty Litwin dopiero po latach, spędzonych w więzieniu, dochodzi do zastanawiania się „nad różnicami charakterów ludzkich", do poziomu życia intelektualnego. Stąd zarówno jego bohaterska decyzja poświęcenia się, by dla podlejących w ucisku rodaków stworzyć „przykład", jak niezbyt bohaterskie, bo nieprzewidziane narażanie na prześladowania najbliższych, jak wreszcie wszystkie jego postępki robią wrażenie formuł papierowych, nierealnych, nie

związanych z życiem. Jest to gramofon, mechanicznie wyrzucający pewne maksymy, dla czytelnika nie zawsze zrozumiałe. Twinko np. ślubował sobie „nie mieć żony i dzieci, ażeby nie przekazać nikomu nazwiska, zhańbionego występkami ojca“, ślub ten jednak nie przeszkodził mu mieć dwu żon i syna, którego zresztą z patosem... bohaterskim odtrącił, każąc malcowi wyrastać na uczciwego człowieka i Polaka.

Z tak pojętą, papierową koncepcją człowieka harmonizuje najzupełniej papierowe tło powieści, życie litewskie i syberyjskie w połowie ubiegłego wieku, z takimi szczegółami, jak pociągi, barometry i fotografia na Litwie lub ozimina na Syberii, i to jeszcze w okolicach Nerczyńska. Szczegóły te są dla danych terytoriów w czasach mikołajewskich równie charakterystyczne, jak dla krainy Nipuanów podczas pobytu w niej IMĆ Pana Mikołaja Doświadczyńskiego.

Zestawienie to nie jest bynajmniej złośliwostką, naodwrót — jak się dalej okaże — pozwala ono zrozumieć dokładniej charakter powieści Świętochowskiego. Gdy się tedy czyta niejednokrotne tyrady przeciw kobietom, niewolnicom mody, tworom „przeważnie bezmyślnym i ciągle innym“, tyrady, głoszone równie dobrze przez samego autora jak przez pułkownika żandarmskiego, niepodobna oprzeć się wrażeniu, że są to sprawy skądciś doskonale znane. Odpoznanie ich ułatwia rzut oka na klimat stylistyczny *Twinki*, na rozmowy zesłańca z przyjaciółmi, sekciarzami syberyjskimi. Do starego duchoborcy i sąsiada zwraca się on *per* „kochany Joachimie“, jego zaś nadobną siostrzenicę przestrzega: „Kochana Kalo, pamiętaj ciągle o tym, że piękna kobieta nigdy nie może ukryć się przed dzikim mężczyzną“, na co rzeczona Kala replikuje figlarnie: „Tylko musisz, kochany pustelniku, wprowadzić zwyczaj zamykania drzwi wchodowych“. Uroczyste formułki tego typu znamy przecież doskonale z powieści Krasickiego i jego współczesnych. Ale to bynajmniej nie wszystko. Owa Kala była „tak nadzwyczajnie prosta, naturalna i tak naiwna, że stanęłaby w galerii rzeźb naga i nie doznawałaby żadnego wstydu wobec oglądających ją widzów“, tworząc w ten sposób wymowny kontrast do „wykształconej i wytresowanej panny“ europejskiej. Podobnie wuj i matka Kali cnotami swymi biją „europejskich dobrodziejów i dobrodziejki“ a przecież „kulturnicy“ poczytaliby ich tylko „za nieokrzesanych prostaków, oślepionych przesądami, niezdolnych wytrzymać blasku jej (kultury zachodniej) świateł“. Słowem, klimat stylowy odpowiada klimatowi etycznemu powieści, ten zaś żywo przypomina humanitarne wywody szlachetnego mędrca Xaoo, roztaczane przed Doświadczyńskim. Gdy się na te pokrewieństwa *Twinki* z romansem utopijno-moralnym w. XVIII zwróci uwagę, nie dziwi ani struktura powieści, ani jej lekceważenie realiów, ani jej schematyzowanie charakterologiczne, ani jej mętna ideologia. Ta ideologia, która Twince każe poślubić cnotliwą dziewicę Kalę i z nią wyemigrować pod zwrotniki, by tam „osiąść“ śród ludzi prostych i dobrych, nie zarażonych obłudą i przewrotną kulturą europejską“ i stamtąd „zdala widzieć Polskę w majestacie, chwale, blasku i piękności“, Polskę, jakiej na świecie nie było i nie ma.

Pikanterię *Twinki* potęguje to, że nie jest on romansem stylizowanym wedle modły osiemnastowiecznej, lecz bezwiednym jej refleksem, prymitywem powieściowym, najzupełniej oderwanym od życia nowoczesnego, jak oderwany byłby ustrojony w kolorowy fraczek i kiuloty manekin, który, porzuciwszy gablotę muzealną, ruszyłby na promenadę po rozległych drogach dzisiejszego życia polskiego.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

*

JANUSZ MEISSNER: *Opowiadania lotnicze*. Kraków 1936, nakładem T-wa Szkoły Ludowej.

Zbiorek p. Meissnera dzieli się na cztery części. W pierwszej: „Jak ludziom urosły skrzydła“ autor opowiada młodym entuzjastom lotnictwa, chwilowo jeszcze zamkniętym w murach szkoły średniej, jak powstał samolot, i oprowadza ich po szkole lotniczej.

Część druga poświęcona jest lotnictwu polskiemu w walce o niepodległość, a więc w obronie Lwowa, podczas klęskowego odwrotu w 1920 r. i zwycięskiej ofensywy, która zamknęła cykl bojów polskich.

Ale lotnictwo jest nie tylko środkiem agresji i obrony. Zasługą autora jest, że w trzeciej części swej książeczki pokazał nam je także na usługach ludzkości: przy przewożeniu poczty, w bohaterskiej akcji ratowniczej rozbitków ekspedycji „Czeluskina“, przy dostarczaniu na czas środków leczniczych w wypadkach nagłych, np. ukąszenia żmii, wreszcie przy zaopatrywaniu ludności w żywność, odzież i lekarstwa podczas powodzi.

Część ostatnia mówi o polskiej sławie lotniczej. A więc Orliński, Idzikowski i Kubala, Hausner, Skarżyński, Żwirko i Wigura, Bajan — nazwiska znane dziś każdemu dziecku polskiemu. Książka napisana bardzo przystępnie i popularnie, żywo, obrazowo, z młodym entuzjazmem i serdecznym sentymentem jest zdrową lekturą dla młodzieży i szlachetną propagandą idei lotnictwa. Zbiorek ten stoi wyżej od opowiadań sportowych tegoż autora p. t. *Pierwsze kroki*.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

TEATR

TEATR KAMERALNY: *Wróble gniazdo*, sztuka w 3 aktach H. GOBSCHA, przekład I. Grywińskiej.

Konflikt z sumieniem — każdemu mogłoby się to przytrafić. Znalazłeś zegarek, znalazłeś broszkę, pierścionek — czy oddać „na policję“? Ale tam sobie wezmą — podszeptuje coś — rzecz i tak nie dostanie się do rąk właściciela, więc lepiej weź ty sam! Znalazłeś dziewczynę, jeśli jej sam nie uwiedziesz, zrobi to bez skrupułu kto inny! — mówią sobie młodzi panicze. Są tu właściwie dwa sumienia, jedno mówi: weź! drugie: nie rusz!

W tej sztuce bankier, eks-artysta (to jest ważne!), znalazł testament wyznaczający spadkobiercą starego sługę, lecz zataja go, bo już on sam i jego rodzina weszli w posiadanie majątku. Ciekawe są głosy tego sumienia, które się opiera i upiera. Autor zgromadził je dość sprytnie, ale drugie tyle dodali jeszcze nasi recenzenci. I tak jeden proponuje: zaczepić testament; zrobić ze służącym układ; rzucić testament w ogień a służącego hojnie odszkodować... Ależ to ostatnie „wyjście“ jest właśnie w sztuce. Ja jeszcze jedno proponuję: niech bankier obraca pieniędzmi tak długo, aż spłaci służącego. I tak dalej. Ale w sztuce bankier, po różnych wahaniach, po prostu—lub raczej po tołstojowsku—przyznaje się do winy przed służącym, kaja się. Protestuję przeciw temu, żeby z tego bankiera autor i recenzenci robili koniecznie człowieka słabego, neurastenika, niemal dekadenta — przeciwnie, jest to człowiek silny, wahania woli nie są jeszcze słabością.

Bankiera grał Adwentowicz, a choć jest specjalistą od przedstawiania szarpań psychologicznych, pokazał, że niekoniecznie musi się je grać z ponurą miną i grobowym głosem. Znakomity, bo zupełnie naturalny i prosty, był w scenie wyznania winy. Odznaczyły się też panie Grywińska i Grudzińska — zresztą cały spektakl jest zajmujący — stare sumienie czasem trzeba, choćby *ex officio*, wprowadzać na scenę.

KAROL IRZYKOWSKI

IDEE

BERTRAND RUSSELL: *Pochwała próżniactwa*. Z upoważnienia autora przełożył Antoni Pański. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.

BERTRAND RUSSELL: *Szkice sceptyczne*. Z upoważnienia autora przełożyła Amelia Kurlandzka. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój“.

Dość trudno jest w krótkim szkicu zdać sprawę z dwóch książek Bertranda Russella, tak wiele jest w nich treści, tak piekielnie skomplikowane zagadnienia pisarz ten porusza. Cały świat defiluje przed nami w intelektualnej rewii, wraz ze swymi zawiłościami, sprzecznościami, pogróżkami i, mimo wszystko, ze swoim irracjonalnym optymizmem. Wielki matematyk i filozof z równą łatwością porusza się w sferze zagadnień gospodarczych, społecznych, politycznych, psychologicznych i tysiąca innych, z nimi związanych. Jest on powołany jak mało kto do tworzenia próbnych syntez współczesnej rzeczywistości i dopomagania zwykłym ludziom do orientacji w sprawach, które czują intuicyjnie, ale którym nie daliby rady własnym skromnym umysłem.

Ta filozofia „stosowana“, publicystyczna, wynikająca z istotnej erudycji i poważnych przemyśleń, ale obliczona na użytek, może nie ogółu, ale w każdym razie pokaźnej elity intelektualnej, jest wybitnie dodatnim, orzeźwiającym zjawiskiem. Jest to niejako publiczna dyskusja na najbardziej pasjonujące nas tematy, których świadome i trzeźwe traktowanie przez ludzi może w niejednym zmienić na lepsze postać świata. Działalność Russella przypomina trochę encyklopedystów francuskich, i nic dziwnego — chwila jest podobna: stoimy u progu wielkich przemian. Zdać sobie z nich sprawę, ustosunkować się do nich intelektualnie i praktycznie to zadanie każdego z nas.

Na obie świeżo przełożone książki Russella składają się studia i artykuły ogłaszane w czasopismach angielskich i amerykańskich. Niektóre z nich już trochę zwietrzały, bo wypadki szybko płyną. Inne zachowały palącą i nawet coraz bardziej parzącą aktualność — to sprawy dotyczące dwóch potęg przewalających się obecnie z drapieżną zajadłością nad światem: faszyzmu i komunizmu. Russell z mądrze motywowaną trwogą spogląda na te obie siły, które, rozpętawszy najprymitywniejsze, ślepe instynkty okrucieństwa, żądzy władzy, zduszenia jednostki, nienawiści i namiętności do zbiorowych mordów, grożą zagładą naszej cywilizacji. Mimo iż wrogie sobie, w istocie bardzo podobne, dwa te kierunki duszą to, co jest największym skarbem ludzkości — wolną i niezależną myśl, jedyną prawdziwie twórczą siłę świata. W komunizmie zrzadka, ale może się Russell dopatrzyć dodatnich stron, natomiast faszyzm, rozpętanie nacjonalizmu i militaryzmu, przejmuje go zgrozą. Nie daje się zresztą ponieść afektowi, tłumaczy, perswaduje, objaśnia. Wierzy w wiedzę i w rozum ludzki, wierzy w perswazję. Ta wiara, mimo iż czasem wątła na tle gromadzonych przez niego materiałów zarówno obecnych jak historycznych, mimo iż może chwilami aż naiwna, jest niezmiernie pokrzepiająca, bo w cóż innego mogą cywilizowani ludzie wierzyć, co może ich ratować od zwątpienia, co może im dać siłę oporu? Russell zresztą wystrzega się słowa „wiara“ użytego w jakimkolwiek znaczeniu; wiara wyklucza sceptycyzm, a tylko sceptycyzm jest twórczą szkołą dla umysłu. Ludzie muszą nauczyć się myśleć naukowo, to znaczy z najwyższym obiektywizmem, muszą umieć obejrzeć każde zagadnienie z paru stron, inaczej widzenie ich równa się ślepocie. Toteż nawet doktrynę socjalistyczną, najbliższą sobie, analizuje Russell ostro i sceptycznie, wyławiając z niej to, co w niej płodne i korzystne dla ludzkości, odrzucając wszystko, co jest ślepą nienawiścią i fanatyzmem.

Postawa umysłowa Russella, która i w tym go upodabnia do encyklopedystów, skłania go do walki z przesądami, które niestety mają twarde życie, których ludzkość trzyma się z tępym uporem. Człowiek mniej dba o swoje własne szczęście niż o możność sprawienia przykrości bliźnim, powiada Russell. Namówić ludzi, żeby zechcieli być szczęśliwi, to znaczy uszczęśliwić świat. Ba, kiedy nikt sobie tego nie życzy. Oporni, sami siebie krzywdzą. Czemu ludzie nie rozumieją dobra, jakie płynie dla nich i dla ich dzieci ze świadomego macierzyństwa, albo jak to się w Anglii nazywa — kontroli urodzeń? Czemu nie chcą zrozumieć, jak wadliwe i destrukcyjne jest dla psychiki dziecka tradycyjne, okłamujące wychowanie? Czemu nie chcą w nich budzić umiejętności samodzielnego, krytycznego myślenia, czemu nie kształcą w nich zmysłu współczucia i solidarności międzyludzkiej? Czemu, tolerując mnóstwo zła koło siebie, czepiają się z uporem spraw prywatnych innych ludzi, często nie szkodzących nikomu, gdy tylko zatrącają o znienawidzoną powszechnie sferę seksualną? Czemu nie kładą kresu obłędowi zbrojeń, czemu się dają obełgiwać gazetom i mężom stanu? Bo nie chcą być szczęśliwi, bo być nimi nie potrafią, bo instynkt nienawiści jest w nich silniejszy niż instynkt miłości, nawet do samych siebie.

To wszystko mówi Russell i dużo więcej jeszcze. Mówi bardzo śmiało, bardzo zaczepnie. Niektóre jego sformułowania są czarująco trafne i dowcipne. Tam gdzie uważa za stosowne, oddaje na usługi czytelnika ogromny bagaż swojej erudycji. W sumie głos jego jest dzwonem na trwogę. Nikt z nas nie ma wątpliwości, w jak groźnych czasach żyjemy. Tu idzie dosłownie o istnienie rodu ludzkiego na ziemi. Ale nie tylko o to. Jeżeli ten ród ma skarleć, spodleć, zatracić znamiona ludzkie, oduczyć się myśleć i czuć, to bodajby zginął. Więcej jeszcze niż o ludzkość, walczy Russell o człowieka.

To stanowisko jest obecnie bardzo niepopularne i nawet niebezpieczne. Są już kraje, gdzie za takie słowa jak angielskiego myśliciela grozi śmierć i tortury. W innych czeka za to co najmniej zohydzanie, szkalowanie, oszczerstwo. Od najdawniejszych czasów po dziś dzień człowiek, który bierze zbyt na serio miłość bliźniego, który doprawdy chce w czymkolwiek ulżyć ludziom, musi narazić się na prześladowanie, a co najmniej na dyskredytowanie swojej działalności. Jeszcze dobrze jeżeli, jak u nas, wszelką działalność reformatorską mogącą przysporzyć ludziom odrobinę szczęścia nazywa się ironicznie „życiem ułatwionym“, zamiast wymawiać te słowa z największym szacunkiem. Istotnie, czyż istnieje wznioślejsze zadanie niż ułatwiać ludziom życie, którego trudności są synonimem cierpienia, ciemnoty i zbrodni? Życie ułatwione to jest najistotniejszy z postępów, ten właśnie, do którego dążą i którego pragną przytomnie i humanitarnie myślący ludzie; wśród nich właśnie Russell. Głupawa ironijka na ten temat jest zresztą dość nieszkodliwą bronią; ale wiemy, jak do wszystkiego, co może stanowić o szczęściu jednostki, odnoszą się kraje dyktatur. Człowiek dążący do szczęścia innych i do własnej niezależności musi mówić tym dobitniej, tym mocniej winien rozbrzmiewać jego głos, im bardziej chcą mu zatkać usta.

Czy nic się nie da powiedzieć przeciw tym mądrym i sympatycznym książkom? Czy ja wiem? Może to, że za dużo w nich racji. Jak w muzeum bywa zbyt wiele arcydzieł, tak w takich rozważaniach za wiele jest słuszności. Wywołuje to jakiś irracjonalny odruch zniecierpliwienia, a sceptycyzm, którego tak dobrze naucza Russell, obraca się w pewnych chwilach przeciw niemu. Jego forsowny nieco optymizm, jeżeli chodzi o możliwości ludzkie, jego wiara w perswazję i rozsądek, w nauczanie i oświatę budzi chwilami zasmucające wątpliwości. Kiedy się pomyśli, że przymus nauczania przyczynił się w rezultacie do obniżenia ogólnego poziomu, stwarzając olbrzymie kadry ćwierć-analfabetów, do których stosuje się prasa, a nawet literatura, jako do przytłaczającej większości! Czy dlatego jednakże mamy się tych czy innych obosiecznych może postulatów wyrzekać? Czy widząc, że demokracja wprowadziła przymus powszechnej służby wojskowej, mamy się wyrzekać demokracji? Nie, zapewne. Ale walcząc o postęp, kiedy się spojrzy w teraźniejszość i przeszłość, trudno jednak uwierzyć w doskonałość jakiejkolwiek organizacji ludzkiej, i choć nam Russell maluje w najcieplejszych barwach możliwości ustroju socjalistycznego, trudno się nam oprzeć wrażeniu, że jeżeli i to nawet zostanie osiągnięte, zgotuje jednak ludzkości zasadzki i niebezpieczeństwa, które dziś trudno przewidzieć. Ale nim to nastąpi, myślmy o bliższych niebezpieczeństwach.

IRENA KRZYWICKA

NOTATKI

WOLNOŚĆ JEST TAKŻE WOLNOŚCIĄ ŚMIECHU

Dwa tylko czary ciążące nad Polakami rozsnuł Wyspiański w *Weselu* — trzeciego nie dojrzał, ale go może przeczuwał, skoro ustami dziennikarza narzekał na te „nasze polskie posty dusz do polskich świętych i te nasze tęczowe mosty czułości nad pustką rozpiętych“. Ponieważ panuje obecnie moda na Wyspiańskiego jako na t. zw. poetę państwowości oraz dostarczyciela okazjonalnych recept w jej zakresie, rozumiem zacytowane słowa jako gorzkie przeczucie atmosfery naszych rocznic narodowych i pod wysokim protektoratem poety ośmielam się poruszyć tragikomedię pomyłek, jakiej na imię — nasze obchody i uroczystości.

Temat to nieco drażliwy, więc zbyt rzadko omawiany publicznie, niemniej jednak chętnie zwierzany sobie prywatnie na ucho, jakby w obawie smoka-władcy, który zgorszony nieostrożnymi słowami wpadnie i pochłonie śmiałka. Marzę wprost, że „znajdę to czarowne słowo“, które rozwiąże inne usta, wymowniejsze i bardziej przekonywające, że pomocne głosy z wielu stron społeczeństwa westchną do wtóru ze mną: O nudo straszliwa naszych trzecich majów, jedenastych listopadów i innych ważnych kartek naszego kalendarza państwowego; o *pompe funèbre*, z jaką rok rocznie w tejże samej porze „lokalne komitety obchodowe“ podają zrezygnowanym współobywatelom sałatkę przemówień, piosenek i wierszyków patriotycznych, figurującą w *menu* ustalonym od kilkunastu lat jako „uroczysta akademia“ w sali szkoły... straży ogniowej... Strzelca... itp. instytucyj gminnych lub społecznych; o niedoli kozłów ofiarnych-nauczycieli, miotających się w rozpaczy poszukiwania nowych „utworów nadających się do zużytkowania“; o cierpliwości słuchaczy oklaskujących po raz nie wiem który tego samego, zawsze i nieodmiennie za długiego o trzy czwarte przemówienia na temat „roli i znaczenia“ dnia, „w którym zebraliśmy się, aby uczcić...“

Akademie, akademie, akademie! Po trzykroć szczęśliwi Grecy, przechadzający się w gaju Akademosa wśród interesujących rozważań i gawędy, nie przeczuwali, jak złośliwie wyzyska ich pomysł Mojra pewnego narodu, przemianowując nudne, nastroszone „obchody“ na... takież same „akademie“, w przekonaniu, że nazwa potrawy jest w stanie zmienić radykalnie jej smak.

Ażeby jednak nie gorszyć czytelnika, skłonnego dopatrywać się drwiny tam, gdzie jej nie ma i być nie powinno, wyjaśnijmy coprędzej, o co mianowicie chodzi w tych ubolewaniach nad kształtem naszych uroczystości — właśnie nad *kształtem* pozbawionym inicjatywy, pomysłowości i wdzięku.

Nikt przecie wolny od daru samookłamywania siebie... oraz bliźnich, nikt mający oczy otwarte na zjawiska naszego życia nie będzie mógł zaprzeczyć, że to, co ze strony społeczeństwa jest wkładem do skarbca pomysłów uroczystościowych, cechuje niezwykły brak pomysłowości, brak fantazji, brak wprost świeżego powietrza. W Polsce, niezależnie nawet od dobrej woli organizatorów, od ilości czasu, jaką potrafią poświęcić przygotowaniu, wielcy ludzie lub doniosłe zdarzenia czczone są zawsze tak samo — ktoś

przemawia, ktoś śpiewa, ktoś wygrywa, ktoś deklamuje, no i ktoś tego słucha. Z wielkimi miastami pół biedy, ale w miasteczkach czy osadach te funkcje spełniają parę razy do roku jedne i te same osobistości, a słuchacze już z góry wiedzą, co i w jakim mianowicie momencie usłyszą.

Któż to właściwie wymyślił, że słabe produkcje artystyczne są najlepszym środkiem budzenia wzruszeń patriotycznych, a pompatyczne i pseudohistoryczne referaty ugruntowują w słuchaczach sumienie obywatelskie? Dlaczego rocznica wielkiego faktu dziejowego ma się stawać pretekstem dla urządzania kursów dokształcających w zakresie wiedzy o Polsce dla pełnoletnich analfabetów? Młodzież uczy się dziejów narodu znacznie staranniej i dokładniej na godzinach historii, więc niechże w dniu święta zapomni o szkole, z dorosłych — jedni słyszeli już o nich wielekroć i zdążyli wyrobić sobie zdanie, a inni... niechże się uczą kiedy indziej!

Sprawa jest tak groźna w swej istocie, że należałoby o niej mówić w sposób jak najbardziej jaskrawy i szyderski. Jesteśmy bowiem świadkami załgiwania się dorosłych w patosie i ckliwości, zanudzania młodzieży sprawami, które muszą być najbliższe jej polskiemu sercu, straszliwej w skutkach dewaluacji takich słów, jak ojczyzna, honor, obowiązek, słów, które używane z rzadka i umiejętnie mają siłę lontu zbliżanego do dynamitu, a wgadywane przy każdej okazji do uszu... A ciągle jeszcze dziwią się swoi i obcy, że nasza ulica tak słabo uzewnętrznia swoje emocje, że nie wybucha entuzjazmem na widok swego wojska, że nie klaszcze i nie woła na widok lubionego i popularnego członka rządu — jak to widzimy za granicą. Istotnie — milcząco skupiają się ludziska na brzegach chodników, wyciągają jeden przez drugiego szyje, a policja wymownie napiera na ruchome szeregi, utrzymując dystans i linię. Gdy zachodzi potrzeba tłumaczenia, mówimy, że nie jesteśmy narodem o południowym temperamencie, nie umiemy wynieść życia i uczucia na ulicę, odzwyczailiśmy się od manifestacyj radosnych przez długie tamowanie odruchów w okresie porozbiorowym. To wszystko prawda. Ale gwoli sprawiedliwości przyznajmy jeszcze jedno: nasz dodzisiejszy obyczaj społeczny wyklucza atmosferę humoru i bezpośredniości. Najłatwiej nam marynować wszystko w sosie wzniosłości, a uśmiech lub śmiech wciąż jest dla nas równoważnikiem lekceważenia i niedoceniania.

Do dziś nie może przeciętna polska świadomość wyjść z katakumbowych nastrojów rocznic narodowych, które pod zaborami lub na emigracji dawały sposobność do ukrzepiania się słowami wieszczów, które przedstawiały się jak długie, nocne rodaków rozmowy, jak komunie patriotyczne wchłaniane potajemnie pod grozą donosów szpiegowskich. Wtedy, kiedy niewątpliwie czynem było wspólne odśpiewanie *Roty* lub *Z dymem pożarów*...

Te na obczyźnie lub w domu niewoli organizowane zgromadzenia, którym sprzeciwiała się obojętność lub wrogość cudzoziemców, spełniały oczywiście swe znaczenie psychologiczne i społeczne. Niestety pamięć o nich, że tak powiem, przetrwała o wiele za długo, a pokolenie pamiętające niewolę egipską z nazbyt dużym obciążeniem przedwojennym wkroczyło do ziemi Chanaan.

A więc ostatecznie: czego chcemy od naszych świątecznych dni narodowo-państwowych?

Tego przede wszystkim, *aby były naprawdę świętami*, aby wnosiły w nasze życie codzienne element niespodzianki i urozmaicenia, aby, jak się wyraził Szaniawski w *Ptaku*, było wtedy „ładnie i wesoło". Dzień święta niepodległości, najważniejszy dziś spomiędzy ważnych, trzeba przemalować na stałe czerwoną farbą w kalendarzu, aby sklepy, banki etc. były w równie szczęśliwym położeniu jak szkoły średnie i powszechne. Centrem uroczystości oficjalnych niech będzie Warszawa, do której w tym dniu kierować by można ożywiony ruch turystyczny w związku z najbardziej imponującym momentem dnia, jakim się staje coraz bardziej defilada wojska przed najwyższym zwierzchnictwem sił zbrojnych państwa.

Wydaje mi się, że w takie dni szczególnie cenną okazać się może pomoc radia, którego właściwą rolą społeczną jest — być oficjalną mównicą. Gdyby w dzień święta całej Polski skupiły się przy głośnikach na szerokich placach, po salach szkół, halach gimnastycznych, także po cukierniach, kinach etc. setki tysięcy obywateli dla wysłuchania o pewnej godzinie przemówienia osobistości należącej do sfer urzędowych lub naukowych w skali istotnie reprezentatywnej, nie małomiasteczkowej lub amatorskiej — efekt takich słów byłby niepomiernie doniośliejszy niż kilkanaście tysięcy speachów, głoszonych *urbi et orbi* w Koziej Wólce, Małyszynie Dolnym etc.

A potem? Potem niech się ludzie bawią, niech tańczą, idą do kina, teatru, na karuzele i kolejki górskie. *Święta narodowe — to muszą być święta ludowe, dnie zabawy dla najszerszych mas.* Do organizowania takich dni trzeba wciągać do współpracy artystów-malarzy, dekoratorów, architektów, muzyków, śpiewaków; także magików i prestidigitatorów. Niech na placach grają orkiestry, niech na rogach ulic produkują się połykacze ognia, mieczów i żab, niech wszystkie kobiety (pod rygorem kar administracyjnych!) przyozdobią się jakąś nową szmatką, niech zakochane pary uzyskają prawo całowania się na środku jezdni. Niech ludzie spróbują śpiewać.

Że społeczeństwo posiada kłopoty, a nie posiada pieniędzy? Twierdzę, że niczyje kłopoty nie zmniejszą się po usłyszeniu wiersza Relidzyńskiego lub Or-Ota, a najskrupulatniejszy referat o Cudzie nad Wisłą nie spowoduje radosnego cudu w czyichś pustych kieszeniach. Zdaje mi się natomiast, że przeżycie kilku godzin w atmosferze zabawy lub w obcowaniu ze sztuką prawdziwych artystów (koncerty, przedstawienia, widowiska pod gołym niebem etc.) wywrze wspaniały skutek na zmaltretowanych dłużników i zawiedzionych wierzycieli.

Twierdzę, że ten najwłaściwiej, najtrafniej i najlojalniej (słuchajcie! słuchajcie!) uczci dzień święta narodowego, kto wieczorem dnia tego położy się spać w najlepszym humorze. Bo taki człowiek uczuł, że mu w Polsce dobrze było żyć.

ZOFIA MIANOWSKA

NOWE KSIĄŻKI

BIOGRAFIE

LYTTON STRACHEY: *Królowa Wiktoria*. Z upoważnienia autora przełożył Antoni Pański. Warszawa 1937. Tow. Wydawn. „Rój". Str. 328 i 9 tablic.

Świetne studium portretowe królowej Elżbiety i osób ją otaczających. Postaci książki żyją i działają — są to przeważnie aktorzy wielkich wydarzeń w polityce wewnętrznej i w polityce zagranicznej, jakich widownią była Anglia w okresie długiego panowania Wiktorii. Portrety osób rzucone są na szerokie tło historyczne — a jedno i drugie odmalowane z finezją, dowcipem i głębokim znawstwem życia i ludzi.

EKONOMIA, NAUKI SPOŁECZNE

WINCENTY LUTOSŁAWSKI: *Jak rośnie dobrobyt?* Zarys polskiej teorii gospodarstwa narodowego. Kraków 1936. S. A. Krzyżanowski. Str. XXXII i 256. Zł. 2.50.

Książkę tę *Pion* omówi w osobnej recenzji.

WACŁAW MAKOWSKI: *Państwo społeczne*. Warszawa 1936. Biblioteka Drogi. Tom 8. Str. 136.

Rozprawa składa się z następujących rozdziałów: Przedmowa. Społeczeństwo a państwo. Nowoczesne tendencje w prawie publicznym. Ku państwu społecznemu. Założenia ideologiczne państwowości polskiej. Myśl przewodnia nowej Konstytucji.

FILOLOGIA KLASYCZNA

MARIA MAYKOWSKA: *Klasyczna teoria wymowy*. Warszawa 1936. Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki. Str. 89.

Treść książki: Wstęp. I. Sposoby argumentowania. II. Układ mowy. III. Wysłowienie. IV. Wystąpienie na mównicy. V. Retoryka i filozofia. VI. Retoryka i krytyka literacka. Zakończenie. Bibliografia.

POEZJA

BOLESŁAW LEŚMIAN: *Napój cienisty*. Warszawa 1936. J. Mortkowicz. (Pod znakiem poetów. Seria nowa). Str. 222.

Nowy, trzeci z kolei, zbiór poezyj Leśmiana. W najbliższym czasie omówi go w *Pionie* Wł. Sebyła.

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA: *Wiersze i proza*. Warszawa 1936. Skł. gł. „Biblioteka Polska". Str. 72.

27 wierszy i 13 obrazków prozą młodej poetki, która zwróciła na siebie uwagę utworami drukowanymi w czasopismach, m. in. w *Pionie* w r. 1935.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK: *Łąkami w górę*. Warszawa—Kraków 1936. Biblioteka „Okolicy Poetów". Tom 5. Str. 47.

Wiersze z lat 1930 — 1936, drukowane pierwotnie w różnych czasopismach.

Cztery wieki fraszki polskiej. Wybór JULIANA TUWIMA. Przedmowa A. Brücknera. Układ graficzny Kazimierza Piekarskiego. Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 560. Zł. 20.— (w opr. zł. 25.—).

Ta piękna i pięknie wydana antologia będzie omówiona w *Pionie* w osobnym artykule.

POWIEŚĆ

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: *Młyn nad Utratą*. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 235.

Tom zawiera oprócz noweli tytułowej nowelę p. t. *Nauczyciel*.

MARCEL PROUST: *W stronę Swanna. (W poszukiwaniu straconego czasu)*. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Tom I str. 243. Tom II str. 241. Tom III str. 251. Zł. 24.—.

Pierwsze ogniwo sławnego cyklu *A la recherche du temps perdu*. Przekład znakomity, poprzedzony wstępem tłumacza doskonale informującym o wartościach i znaczeniu dzieła.

MAKSYM GORKIJ: *Pieśń o sokole*. Wydanie drugie. Przełożył S. S. i L. Szenwald (utwór tytułowy). Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Str. 259.

Osiem utworów nowelistycznych z lat 1895 — 1897.

ARNOLD ZWEIG: *Wychowanie pod Verdun*. Z upoważnienia autora przełożyła Wanda Kragen. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Str. 447.

W nocie wstępnej autor pisze: „Ta powieść wypełnia lukę pomiędzy dziełami *Młoda kobieta z roku 1914* i *Sporem o sierżanta Griszę*, które wraz z *Ustanowieniem króla* tworzyły pierwotny zarys trylogii powieściowej pod tytułem *Wielka wojna białych ludzi*. Naszkicowana w r. 1927, została napisana po raz pierwszy w r. 1928, po raz wtóry w 1930. Na skutek zajęcia manuskryptów oraz mojego wygnania z Niemiec ukazanie jej opóźniło się, a postępujące osłabienie oczu utrudniło ostateczną redakcję podyktowanego na nowo rękopisu".

E. FINKE: *Morderca przegrywa robra*. Z upoważnienia autora przełożył S. Różański. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Str. 319.

Powieść detektywna, operująca metodami logiki dedukcyjnej i psychologii, oparta na ostatnich zdobyczach nauk społecznych.

Wszystkie książki i książkowe wydawnictwa periodyczne (miesięczniki, kwartalniki, roczniki), nadsyłane do PIONU, notowane są w dziale „Nowe Książki" i zaopatrywane — w miarę możności — w krótkie notatki informacyjne. Recenzje dłuższe umieszcza redakcja podług własnego uznania i wyboru. PP. Wydawcy proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw — o ile to możliwe — w dwóch egzemplarzach.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu wydania w roku bieżącym kilku książek moich (zwłaszcza przekładów poetyckich) mnożą się w ciągu ostatnich miesięcy artykuły, dotyczące nie tyle prac tych, ile osoby autora. Naczelny argument niechętnych tych ocen stanowi moje nazwisko.

Przeszło rok temu miałem sposobność opublikowania niedwuznacznego w tej mierze oświadczenia, do którego odsyłam wszystkich zainteresowanych (*Bunt Młodych*, Nr 14/15, z dnia 20.VII. 35). Dziś raz jeszcze, i mam nadzieję po raz ostatni, zmuszony jestem oświadczyć, — chociaż uważam za mało właściwe zaprzątanie uwagi publicznej moją osobą prywatną — iż jestem chrześcijaninem pochodzenia semickiego; jako literat od lat najmłodszych pisuję pod pseudonimem (od r. 1920, pierwszy wiersz ogłoszony w *Narodzie*). Insynuowanie, że pseudonim ten, przyjęty w swoim czasie ze względów wyłącznie rodzinnych, ma na celu zatajenie mego pochodzenia, uważam za nielojalne, i pragnę fakt ten stwierdzić wobec wszystkich ludzi dobrej woli.

STEFAN EIGER-NAPIERSKI

Warszawa, 14/XI 36.

SKŁADAJCIE OFIARY
NA POMOC ZIMOWĄ
DLA BEZROBOTNYCH.
KONTO PKO Nr. 70.200
POMOC ZIMOWA

NOWY ADRES
REDAKCJI I ADMINISTRACJI
„P I O N U"
Chmielna 33 m. 5
Telefon 304-09

Rękopisy nadesłane a nie przyjęte do druku redakcja zwraca jedynie w tym razie, jeżeli autor dołączy do rękopisu kopertę zaadresowaną do siebie i dostatecznie ofrankowaną.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5, tel. 304.09; czynne codziennie od godz. 9 do 15 (sprawy kasowe załatwia się w środy i soboty od godz. 10 do 12). REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 18 do 19. PRENUMERATA w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł.. ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty—60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P.K.O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.